N. 2. WARSZAWA d. 1 (13) Stycznia 1872 ROKU.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

PARYŻ W AMERYCE

DZIEŁO

EDWARDA LABOULAYE'A

PRZEJRZANE

przez **Elizę Orzeszkową.**

(Dalszy ciąg.)

— Co do ciebie zaś, panie niedowiarku, powiada na zakończenie swéj nowiny spirytysta, przenosisz się do Stanów Zjednoczonych ze wszystkiemi przesądami i wspomnieniami Francji. Pragnę abyś ciężkiem doświadczeniem przekonany został o mojéj potędze. Dowiesz się czy Ionathan ! Dream jest istotnie spirytystą. Oszyłem cię skórą amerykanina a wydostaniesz się z niéj wtedy tylko, gdy ja zechcę!"

Na tę wiadomość zimny pot przestrachu oblewa czoło Paryżanina, zrywa się i woła:

— But Jeannot spak Englisch!" co znaczy „Ależ ja nie umiem po angielsku". Nagle przerywa sobie wykrzyknik, bo postrzega z osłupieniem, że wydaje z krtani dzwięki podobne do świstania ptaków. Umiał już po angielsku. Po chwili spiryta usypia go snem magnetycznym i odchodząc jedną jeszcze pozostawia radę, to jest, aby pamiętał że mędrzec niczemu się nie dziwi.

Następuje zatem obudzenie się.

„O 7méj z rana, opowiada Lefebvre, służący wszedł według zwyczaju do mojéj sypialni przynosząc mi dziennik. Uchylił sztorę, miły blask słońca wpłynął do pokoju i uczynił na mnie bardzo przyjemne wrażenie. Zwróciłem twarz ku światłu i o zgrozo! włosy powstały mi na głowie, zbrakło mi nawet sił, aby wołać o pomoc.

„Naprzeciw mnie uśmiechał się i podskakiwał młody murzyn z zębami białemi jak klawisze fortepjanu, i grubemi pąsowemi wargami zakrywającemi mu część nosa i brody. „Zamknąłem oczy, serce mi biło tak gwałtownie, jakby pierś rozsadzić miało. Kiedy ośmieliłem się podnieść powieki, murzyna już nie było. W mgnieniu oka wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do okna. Naprzeciw zobaczyłem trzy drukarnie, sześć redakcji i mnóstwo porozlepianych na murach ogłoszeń. Ulicą przesuwali się ludzie zajęci, milczący, śpiesznie biegnący z rękami w kieszeniach w których zapewne kryli rewolwery, ani gwaru, ani krzyków, ani gapiów, ani składów cygar, ani kawiarni i jak daleko wzrokiem sięgnąć mogłem ani jednego policjanta, ani jednego żandarma! Stało się! byłem istotnie w Ameryce! Nieznany, sam jeden znalazłem się w tym kraju pozbawionym rządu, praw i policyi, pomiędzy ludem dzikim, nieokrzesanym i chciwym! Tak, byłem zgubiony!"

Zrozpaczony Francuz spogląda w lustro i spostrzega, że i w jego własnéj osobie przerażające zaszły odmiany. Z wytwornego i zręcznego Francuza stał się Amerykaninem silnym i barczystym ale bladym i łysym, z faworytami spływającemi na ramiona. Zbladł, zęby mu zadzwoniły, zimno przeniknęło go do szpiku kości. Zbiera się jednak na odwagę, wzywa na pomoc frazeologią ojczystą i woła.

— Powinienem być człowiekiem! mam do podtrzymania imię Francuza! Przeciwności, rodzą bohaterów!"

Z tym wykrzyknikiem dzwoni na służącego i rozkazuje zjawiającemu się murzynowi rozniecić ogień w kominie. Murzyn ukazuje w śmiechu swoje białe zęby i szeroko otwiera oczy ze zdziwienia. „Albożnie ma zapałek powiada z ironją, albożniemożecie sami się nachylić!? To mówiąc potrąca korbę w dole komina i w mgnieniu oka roznieca żywy płomień. Potem ze wzgardliwym ruszeniem ramion odchodzi...

— O ludzie barbarzyński, woła Lefebvre, o ludzie pozbawiony poezji i wyobraźni! o ludzie, który obawiasz się stracić minutę nawet na rozniecenie ognia, dla téj nędznéj pobudki, że czas to pieniądze!

Ogrzawszy się przy kominie myśli o kąpieli, i przywoławszy murzyna zapytuje, gdzie w tem mieście znaleść można łazienki?

— Łazienki? a to na co?"

— Na to zapewne aby się wykąpać!

Wtedy murzyn otwiera ukryte drzwiczki i ukazuje tuż obok sypialni bardzo wykwintny gabinecik, ze wszystkiemi przyborami do kąpieli. Kąpiel w domu to rzecz arcy wygodna, mówi do siebien Francuz, ale jest to wymysł grubjańskiego narodu, który o niczem więcéj nie myśli jak o wygodzie.

My Francuzi nie doszliśmy jeszcze dzięki niebu do tak grubego pojmowania rzeczy. Milczałem, opowiada daléj, i tyko po cichu złorzeczyłem tym obrzydliwym amerykańskim domom, tym nieobyczajnym mieszkańcom, tym istnym więzieniom z których człowiek wydalić się nie może, bo znajduje tuż pod ręką wszystko, na wyszukanie czego w Paryżu ma przyjemność jeździć, z wielkim kosztem wprawdzie, ale za to bardzo daleko. Po skończeniu toalety przestoczony Paryżanin, zdjęty obawą o podobneż przeistoczenie domu swego i familji, opuszcza sypialnię. Na pierwszym zaraz kroku zatrzymuje się pełen zgrozy i żałości. W bawialnéj komnacie przybranéj z poważną lubo smakowną prostotą, spostrzegł na ścianach pozawieszane portrety Penna, założyciela osady Kwakrów, Waszyngtona, Linkolna który z tracza został prezydentem St. Zjednoczonych i innych podobnych wielkich mężów, którzy powstali z niczego. Otóż to geniusze opiekuńcze mego nowego domu, woła ze zgrozą, domu Francuza wychowanego we czci dla siły i powodzeń! Jakiś tam nieznany kwaker, jakiś jenerał, który mogąc śmiało zostać monarchą nowego świata, poprzestał na zaszczycie pozostania najwyższym urzędnikiem wolnego narodu. Jakiś rzemieślnik wyniesiony pracą do godności adwokata, a potem prezydenta swego kraju, oto są bohaterowie amerykańscy! I czegóż można spodziewać się od narodu

pogrążonego w podobnych przesądach? Nie z jego to łona wyjdzie zapewne nowożytny Cezar!" Tak na każdym kroku spotykając przedmioty i urządzenia do najwyższego stopnia sprzeczne z pojęciami które przyniósł z Europy, doktor Lefebvre a raczéj nowo nazywający się w Ameryce doktór Schmidt, przechadza się po swym domu i trafia do kuchni. Tu spostrzega dwie kobiety pilnie zatrudnione urządzaniem puddingu, a w jednéj z nich starannie ubranéj, z suknią jedwabną podniesioną przez ostrożność i ładnym fartuszkiem, poznaje o bogi! swoją żonę. Tak, była to jego żona, ale jakże zmieniona i inna jak w Paryżu. Odwraca się ku niemu z uprzejmem powitaniem i oświadcza mu, że trudni się dziś kuchnią w celu przyrządzenia ulubionéj przez niego potrawy. Gdy wymawia te słowa dr. Schmidt spostrzega piękny wyraz jéj twarzy, spokojną przezroczystość spojrzenia i dziwną dobroć a czułość rozlaną w całéj osobie. Wydaje służącéj długi szereg poleceń, z których każde ma na celu ozdobienie domu lub uczynienie go bardziéj wygodnym i przyjemnym dla niego i dla całéj familji. Patrząc na nią i słuchając jéj mowy pełnéj miłości zapomnienia o sobie saméj, doktór Schmidt popada w długie rozmyślania.

—O słabości ludzkiego serca! woła w myśli, jakże miłą jest memu uchu ta słodka muzyka w której imię moje i moich dzieci stanowi nieustanną zwrotkę! W Paryżu, we Francji nasłuchałem się zwrotek całkiem innéj natury. Tam żona moja była wielce cnotliwą osobą, ale zbyteczna jéj pokora utrudniała mi nieco życie.

Czynić tak jak czynią inni, oto była zasada pani Lefebvre i Bóg wie tylko ile mię kosztowało staranie, abyśmy się niczem od drugich nie ordóżniali. Musieliśmy mieszkać *jak inni*, mieć taką samą służbę *jak inni*, ubierać się a raczéj stroić *jak inni*, nakoniec bawić się *jak inni*. Dla dobrego tonu który nakazywał ubóstwienie bogactwa, trzeba było rujnować się aby pokazywać że się je posiada. Dzięki mojéj żonie i mądrym jéj radom zdaje mi się, że z godnością odegrywaliśmy trudną przyjętą na się towarzyską rolę, i wszyscy którzy nas widywali na przechadzkach lub gdzieindziéj, muszą nam oddać tę sprawiedliwość. Śmiem twierdzić, żeśmy wiedli życie najzaszczytniéj i najokropniéj pracowite jak tylko można sobie wyobrazić. Każdego ranka oddawaliśmy po 20 wizyt i nieominęliśmy żadnego proszonego wieczoru. Wszystko to było bardzo piękne! Ale mamże się przyznać, że w pół dzikim kraju gruba moja natura zwyciężyła; poczułem się bardzo szczęśliwym nie słysząc wcale o *innych* i wielce mi się podobało, że moja żona tak szczerze była zajęta mną, naszemi dziećmi i naszym domem. Czułem się panem u siebie!" Opuściwszy kuchnią oboje małżonkowie rozmawiają o dzieciach. Syn 17-to letni chłopak jest nieobecnym w domu, bo poszedł przygotować się do mowy którą ma mieć w wieczór na jednym z licznych zebrań publicznych.

— A Zuzanna? zapytuje ojciec.. Dziewiętnastoletnia Zuzanna jest także nieobecną w domu, bo udała się na lekcją hygjeny i anatomji.

— Anatomji! Wielki Boże! Dziewiętnastoletnia córka moja uczy się anatomji!"

— Cóż ci to mój przyjacielu? Odpowiada spokojnie Joanna. Córka nasza będzie miała kiedyś dzieci, a chciałżebyś aby wychowywała je omackiem nie znając ich organizmu? Wiadomą przecie jest rzeczą, że znajomość ciała ludzkiego stanowi jedną z najważniejszych części dobrego wychowania".

— I jakiż doktór podjął się córki nasze uczyć anatomji?

— Pani Hape, jedna z naszych znakomitości medycznych.

— Kobiety doktorami! O gdzieżeś Moljerze! Więc matki nasze, żony i córki nie przez mężczyzn bywają leczone w tym kraju w którym wszystko wywróciło się do góry nogami! To rzecz niepraktykowana! To rzecz nieprzyzwoita, bardzo nieprzyzwoita! Ale któż przecie towarzyszy Zuzanie na te lekcje anatomji?

— Nikt.

— Jakto nikt? Piękna jak anioł, dziewiętnastoletnia dziewczyna chodzi po ulicach sama jedna i bez żadnéj straży?

—I dla czegoż miało by być inaczéj? Odpowiada Joanna. Jakież grozi jéj niebezpieczeństwo? Czy sądzisz że w Ameryce znalazłby się choć jeden mężczyzna dość szalony lub występny, któryby śmiał uchybić osobie młodéj i niewinnéj? A gdyby się i znalazł taki, wszyscy ojcowie, mężowie, synowie i bracia jednomyślnie by powstali aby ukarać nędznika. Ale na szczęście nigdy podobnéj niegodziwości nie widziano w tym szlachetnym kraju. Są to występki i nędze moralne które zostawiamy na własność stałemu lądowi.

Następnie pani Schmidt uwiadamia swego osłupiałego ze zdziwienia i zgrozy małżonka, że młoda Zuzanna zaręczoną już jest z panem Alfredem Roze z najmłodszym z dziewięciu braci synem aptekarza.

— Córka moja zaręczona z dziewiątym synem aptekarza! woła nieszczęsny paryżanin. I ty matka jéj możesz z tak zimną krwią objawiać mi podobną wiadomość?

— A dla czegóżby Zuzanna nie miała zaślubić człowieka którego kocha?

— Ale jakąż pozycję, jaki majątek posiada ten młody człowiek?

— Bądź spokojny. Alfred nie ożeni się z nią pierwéj aż posiądzie środki zapewnienia jéj bytu, a Zuzanna zaczeka choćby dziesięć lat jeśli tego będzie potrzeba.

— A posag? Pani Schmidt? Czy myślałaś pani o posagu? Czy wiesz jak znacznéj części naszego mienia wymagać od nas będzie ten młodzik, który kompromituje naszą córkę?

— Nie rozumiem cię Danielu. Albożsprzedajemy nasze dziecię? Albož młody i kochający mężczyzna potrzebuje być zapłaconym za to, że weźmie na towarzyszkę życia śliczną dziewczynę, dobrą i piękną.

— Bez posagu! ludzie żenią się bez posagu w kraju, w którym wszyscy od rana do nocy uderzają pokłony przed cielcem złotym!

— W Ameryce, mój przyjacielu młodzi ludzie kochają się i zaślubiają się dla tego, że się kochają, a potem szczęśliwi są przez całe życie samą już myślą, że się pobrali z miłości. Każdy przynosi w posagu serce swoje i spodziewam się że naród młody, wolny i szlachetny jak nasz, nigdy innych posagów mieć nie będzie.

— Bez posagu szepce do siebie pan Schmidt, bez posagu! to zmienia cokolwiek postać rzeczy! W takim razie małżeństwo nie ma nic wspólnego z interesem. Bogata czy uboga narzeczona posiada pewność że jest kochaną; ojciec który wydaje za mąż córkę uwolnionym jest od obawy oddania ją w ręce niegodziwego chciwca. Bez posagu! Te barbarzyńskie narody miewają jednak czasem wytworność uczuć, która by mogła czynić zaszczyt naszéj cywilizacji!

W dalszym ciągu czytelnik poznaje pana Alfreda Rose, dzielnego i przedsiębierczego młodzieńca narzeczonego Zuzanny. Doktor Schmidt nie mogąc zapomnieć o niskiem, według niego położeniu towarzyskiem Alfreda, jako dziewiątego syna aptekarza, zapytuje go z lekkim przekąsem, od jak dawna kocha Zuzannę i jakie posiada środki zapewnienia jéj bytu? Pan Alfred odpowiada następnemi słowy:

— Trudno by mi było określić czas, w którym pokochałem Zuzannę. Wydaje mi się jakobym kochał ją od kolebki. Kochałem już ją zapewne wtedy, gdyśmy do wspólnéj uczęszczali szkoły, gdyśmy się razem uczyli, bawili i modlili. W téj porze wspólnych zajęć i zabaw, tyle razy miałem sposobność przypatrzenia się jéj wesołości, dobroci i wdziękom, tyle razy potem w serdecznéj a poufnéj rozmowie widziałem całą piękność jéj duszy, że nareszcie poczułem iż ona to była kobietą, którą mi Bóg w dobroci swojéj za towarzyszkę życia przeznaczył.

A gdy Zuzanna dorosła zaręczyliśmy się i oto cała historja naszéj miłości.

W tych prostych a pięknych wyrazach amerykańskiego narzeczonego, tkwi pojęcie z którem Europejczycy dotąd pogodzić się nie mogą, iż wspólne wychowanie dzieci obu płci nietylko nie wpływa źle na obyczaje, ale owszem tworzy między niemi związki przyjaźni i wzajemnego gruntownego poznania się, jakie następnie przeradza się w trwałe i głębokie przywiązanie.

Przywiązanie to jednak bardziéj gruntowne i stałe jak płomieniste i namiętne, bardziéj w sercu i rozumie niż w wyobraźni biorące źródło, nie zadawalnia Francuza przywykłego do fajerwerku nagłych i najczęściéj sztucznych uczuć.

— Tak więc, odpowiada on z westchnieniem przyszłemu zięciowi, tak więc miłość wasza zaczęła się od przyjaźni i szacunku! Nic w niéj nie ma nagłego i wstrząsającego, żadnéj namiętności ani poezji.

Wkrótce jednak stroskany tym brakiem strzelistych żywiołów w miłości narzeczonego córki, ojciec pociesza się słysząc, że dziewiąty syn aptekarza dorobił się znacznéj fortuny i jest obecnie prawie milijonerem.

— Musiałeś mieć, powiada, możnych protektorów. Dano ci zapewne wyborną rządową posadę. A może twój ojciec miał szczęście zobowiązać krewnego krewnéj senatora?

— Nie, odpowiada Yankes. Miałem tylko własną głowę i własne ręce, a w dodatku to godło naszego narodu: „Naprzód i polegaj na sobie.'

Tu młody człowiek opowiada jakim sposobem postępując wytrwale i pracowicie drogą przemysłu i handlu, doszedł do posiadania 12,000 dolarów rocznego dochodu.

Sześćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu! myśli p. Schmidt i przypatruje się zbliska przyszłemu zięciowi. Nagle spostrzega w twarzy jego wyraźną iskrę genijuszu; z czoła szczególniéj i dolnéj części twarzy przypomina mu on dziwnie Napoleona. Po chwili wchodzi ojciec narzeczonego aptekarz, w towarzystwie innego sąsiada właściciela korzennego sklepu nazwiskiem Green. Ten ostatni z amerykańską szczerością przystępuje do interesu i proponuje, aby mu powierzył swego syna Henryka, który pragnie już rozpocząć drogę, prowadzącą do samodzielnego czynu i fortuny, a on go poślę do Kalkutty jako komisanta wielkiego domu handlowego, i za trzy lata odda go krajowi i rodzinie dojrzałym już i bogatym człowiekiem. Propozycja była nię do odrzucenia.

Przed młodym chłopcem otwierała się droga do majątku i odznaczenia się. Doktor Schmidt przyjmuje więc oświadczenie sąsiada kupca, ale dziękuje mu półgębkiem bo mu ciężka myśl była na sercu.

— O synu mój! woła w duchu, o innéj ja dla ciebie marzyłem przyszłości! Spodziewałem się że wkrótce zostaniesz kandydatem na kandydata do zaetatowego urzędu w ministerstwie, i że za lat pięćdziesiąt jeśli ci szczęście posłuży, będziesz zajmował miejsce naczelnika bióra. Stało się! Może nie posiadasz dosyć zręczności i dyplomatycznych usposobień, aby sięgnąć po tak wysokie zaszczyty. Stało się! zostaniesz tylko miljonerem!" Ale gdy kupiec Green napomyka, że Henryk po powrocie z Indji może zostać mężem jego najmłodszéj córki, dwunastego z ko-

lei dziecięcia, doktór Schmidt czuje się głęboko upokorzonym i zgryzionym.

— Tego to już nadto! myśli sobie. Jakto! ja doktór Lefebvre, ja francuzki obywatel i uczony, miałbym się spokrewnić z jakimś tam kupcem? Równość jest zapewne piękną rzeczą, uwielbiam pojęcie równości, i zasady 1789 roku są moją Ewangelją. Tak; żądam aby równość ogłoszoną była i wyznawaną wszędzie. Żądam nawet aby wcielano ją do praw naszych. Ale na to, aby zstąpiła ona aż do obyczajów nie zgodzę się nigdy. Człowiek który nic nie robi zostanie zawsze wyższym od tego co pracą plami swe ręce! Tak wzniosłem zdjęty oburzeniem, ma już wybuchnąć i wypowiedzieć aptekarzowi i kupcowi zdanie swe o proponowanych mu z niemi związkach, gdy na szczęście dla dobréj harmonji towarzystwa, Joanna zaprasza wszystkich na śniadanie. Przy stole doktór Schmidt spoglądając na poczciwe i rozumne twarze które go otaczają, na pełną miłości i poświęcenia swą żoną, na uszczęśliwione swe dzieci, na rubasznych i pracowitych, lecz uczciwych i serdecznych sąsiadów, czuje się zdjętym mimowolnem wzruszeniem i spostrzega, że w Ameryce nie jest tak źle, jakby się to zrazu wydawać mogło.

W podobny sposób określiwszy domowe i rodzinne stosunki w Ameryce i porównawszy je z temi jakie panują we Francyi, autor przystępuje do takiegoż opisu spraw publicznych.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Pamiętniki Benjamina Franklina przez niego spisywane. Przekład z francuzkiego Warszawa 1871 r. str. 221.

Cena 75 kop.

Z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy wiadomość o wydaniu powyższéj książki, bo nie masz w ostatnich czasach żadnego myślącego człowieka, któryby jéj nie znał, nie odczytywał z roskoszą i nie śledził na jéj stronicach, jak to powstawał, rozwijał się i dojrzał człowiek czasów nowych.... W saméj rzeczy, pisma i pamiętniki Franklina nie tylko dla obywatela Stanów-Zjednoczonych amerykańskich wielkiéj są doniosłości, mianowicie też jego pamiętniki, ale i dla Europy, otrząsającéj się z przesądów i naleciałości tylo-wiecznych.

Nad słowo, lepszy przykład; nad abstrakcyjne rozumowanie, lepsze życie samo; ztąd życiorysy, a do tego w autobiografiach, zawsze będą wpływowemi dziełami.

A Franklin, to Sokrates nowoczesny.

Życiem i słowem niemało się przyczynił do rozwoju młodziutkiéj respubliki, która dziś tak szeroko na drugiéj półkuli naszego planety rozpostarła się i pod wieloma względami wyprzedziła staruszkę Europę.

Pomijając Franklina, jako wynalazcę piorunochronów, jako praktycznego myśliciela, jako zacnego obywatela zawsze wysoko cenić i za wzór wystawiać nie przestaniemy.

I u nas widać poznano się na Franklinie, gdy dzieła jego najprzód w całości, a potem częściowo w tłómaczeniu publikowano. Najlepszą jest edycya i najkompletniejszą ta, którą niegdyś tłómaczył Flat, były dyrektor Instytutu agronomicznego w Marymoncie. Późniejsze jak *Rady poczciwego Ryszarda*, a potem *Wyjątki z pism R. Franklina* miały raczéj na celu niewinną spekulacyjkę księgarską, niżeli względy etyczne.

Obecne *Pamiętniki Franklina*, jako zawsze *na czasie*, i dowodzące u wydawcy głębszego poczucia potrzeb naszego społeczeństwa, uradowały nas, powtarzam, i z rozkoszą zabieraliśmy się do powitania starego w odmłodzonéj postaci przyjaciela, aleśmy niemiłego doznali zawodu.... Z dobrych chęci wydawcy widocznie zażartowano: pomijam strasznie, a dowolnie poobcinaną edycyę francuzką, z któréj dokonano tłómaczenia, ale samo tłómaczenie, ale punktuacya.... zaledwie w pierwszéj korekcie mogłyby się tak pokazać. Tłomacz czy tłómoczka zapomnieli widocznie owego szkolnego prawidła, że jedno zdanie od drugiego oddziela się znakiem przestankowym, bądź przecinkiem, bądź średnikiem, a nawet dwukropkiem, odpowiednio do stanowiska, jakie zdania w okresie zajmują. Kreseczka, ulubiony znak piszącego, dobra w listach prywatnych, w notatkach, ale w dziele drukowanem wszystkich przecinkowych znaków zastąpić nie może, gdyż tylko służy, jako znak deklamacyjny, lub odróżnia osoby prowadzące rozmowę. I kreseczka widać nudziła piszącego, bo napotykamy po pięć i sześć zdań stanowiących okres, a nieprzedzielonych od siebie nawet ową potulną kreseczką. W drugiéj połowie książki sumienie ruszyło piszącego, zaczął dawać przecinki, ale strasznie samowolnie, ot tak, według humoru.

Nie jest-to tak drobną rzeczą przecinkowanie, jakby się napozór wydawało. W powiastce, w wierszyku ulotnym, które przeczytane, idą w zapomnienie, niedokładna lub mylna punktuacya niewiele znaczą, ale w książce poważnéj, nad którą trzeba się nieraz zastanowić, a nawet niektórych trafnych zdań na pamięć wyuczyć, brak znaków przestankowych dotkliwie czuć się daje, bo utrudnia zrozumienie myśli, albo co gorsza opacznie ją przedstawia. Jeszcze tak zwane *zdania* zwinięte, przy mniéj ścisłéj punktuacyi mogą zostać bez przecinków, ale zdania główne między sobą, albo też od nich zależne powinny i muszą być przedzielone odpowiednim znakiem.

Wszak czytelnik ma prawa żądać do piszącego książkę, téj elementarnéj znajomości gramatyki!

Ach! nieszczęśliwa ta gramatyka, któréj tegoczesne geniusze literackie kompletną wypowiedziały wojnę! Nic więc dziwnego, że i tłomacz *Pamiętników Franklina* kaleczy ją nielitościwie, lekceważąc sobie prawa ojczystego języka. Pytamy *np.* po jakiemu to pisane: i *my* z tego powodu żadnéj nie *mieli* nieprzyjemności (str. 84); albo: żałowałem go bardzo i *wyrzucał* sobie (,) żem mu nie kazał ospy szczepić (str. 100). Zdaje nam się również, że nikt po polsku nie mówi: *stosownie jego zasług* (str. 73); albo: *stosownie przepisów* (str. 113). Nie są-to błędy drukarskie, bo przewróconych liter, albo rozsuniętych, lub niedosuniętych nie postrzegamy wcale, owszem drukarska korekta jest tu staranna, ale zecer nie śmiał zapewnie poprawić, jeśli w rękopiśmie znalazł: *w tem celu* (str. 112).

Że tłomacz nie wie, jak używać przeczącego przysłówka *nie*, pisząc go przy słowach, to oddzielnie, to razem; że warunkowy przyrostek *by* kładzie oddzielnie i tym sposobem miesza go ze spójnikiem *by*, używającym się zamiast *aby*; że przyimki niektóre, pisze razem z zaimkami, o to wszystko trudno się z nim spierać, bo to są grzechy powszednie prawie wszystkich naszych publikacyi. Robimy przecież tę małą uwagę, że co uchodzi w pismach peryodycznych, gdzie kilku na raz występuje autorów, a nie masz czasu na drobiazgową korektę, to w książce osobno wydanéj, i to książce prawie naukowéj treści, nie powinno mieć miejsca.

Zacne chęci wydawcy prawdziwą stałyby się obywatelską zasługą, gdyby *Pamiętniki Franklina* staranniéj były przetłomaczone i wydrukowane. Cena książki także powinna być zniżoną, bo 5 złp. za dziełko popularne, oddawna znane, o 211 stronnicach, to trochę za drogo, zwłaszcza, że to nie księgarska spekulacya.

J. Pracki.

Korespondencja ze Lwowa.

(Rachunek z ubiegłego roku.—Nowe pisma.—Świt i jego redakcja.—Nowe książki.—Szare ptaszę i Huragan.—Nowy teatr. Fundacja Skarbkowska.—Odczyty dla kobiet.)

Nie jesteśmy nałogowymi pessymistami, więc dzisiejszego króciutkiego poglądu na rezultat pracy społecznéj w ubiegłym niedawno roku, nie myślimy inaugurować oklepaną nutą utyskiwań zgryźliwych, z którymi dzisiaj u nas na każdym kroku spotkać się można. Niezawodnie dzieje i rezultaty pracy w ubiegłym roku, nie są świetnemi pod każdym względem: korzyści odniesione nie zdołają zapewnie wytrzymać porównania z tem, co się może przy większem wytężeniu osiągnąć dało i czego rzeczywiście spodziewaliśmy się zawsze. Rachunek z ubiegłego roku wypadłby nierównie korzystniéj, gdyby ustaliły się były stosunki i utarły ustawiczne spory polityczne, które kraj nasz i całą zresztą monarchię wycieńczają. Ale mimo to wszystko zaprzeczyć się nie da, że r. 1871 przyniósł nam niemałe korzyści na polu materjalnem i moralnem. Uwagę tę poprzemy tylko ogólnym, sumarycznym poglądem na dzieje ubiegłego roku, gdyż na wyczerpujące wykazanie tego twierdzenia, nie wystarczają szczupłe ramy jednéj korespondencji.

Najpierw tedy zapisać należy, że na polu ekonomicznych zabiegów, Galicja wzięła się dość energicznie do dzieła, ażeby wyzyskać należycie bogate zasoby kraju i powetować straty poniesione w skutek wiekowéj ospałości i mówiąc otwarcie wrodzonéj plemieniu słowiańskiemu gnuśności, która pozwoliła innym zabiegliwszym, chociaż mniéj może wyposażonym krajom, ubiedz i prześcignąć nas na każdem polu. W pracy ekonomicznéj niepodobna posuwać się naprzód olbrzymiemi krokami, więc może nie tak rychło zdołamy w równym stanąć szeregu z tymi, którzy nas dawno już i tak znacznie wyprzedzili. Ale w każdym razie jesteśmy już na drodze żywotnego i spiesznego postępu. Rozwijająca się ustawicznie może nawet z nadto gorączkową skwapliwością budowa dróg żelaznych, otwarła Galicji bardzo dalekie i szerokie pole, do korzystnego pozbywania bogatych zapasów płodów surowych i współzawodniczenia na tem polu z innemi krajami. Koleje żelazne są dzisiaj niezawodnie jednym z najpotężniejszych środków materjalnego podniesienia się kraju, więc nie przesadzamy wcale przywiązując tak wielką wagę, do podjętego w ubiegłym roku i po części już nawet dokonanego rozszerzenia arterji komunikacyjnych. Podnoszą się wprawdzie liczne głosy z zarzutem, że Galicja może zbyt skwapliwie rozszerza swe linje komunikacyjne, które w kraju przeważnie rolniczym i wobec tak słabo jeszcze rozwiniętego przemysłu, nie zawsze przynoszą spodziewane korzyści, a przy braku należytéj ogledności mogą bardzo łatwo zgotować zawód dotkliwy. Zarzut ten jednakże jest tylko po części uzasadnionym. Kto bowiem zastanowił się nad prawidłową wzajemnością wpływów w grze ekonomicznych czynników dobrobytu, kto ze statystycznych badań poznał, jak ożywczo wpływają rozległe środki komunikacyjne na postęp i wzrost przemysłu, ten przyzna, że równowaga może być w téj mierze tylko chwilowo zachwianą, a niekorzystne jéj skutki rychło i sowicie powetowane zostają. Jakoż istotnie przemysł Galicji do niedawna jeszcze tak nikły, dziś już poszczycić się może pewnemi zdobyczami, których lekceważyć niepodobna. Oczywiście nie tak prędko zdołamy się wyemancypować z pod wysokiéj przewagi przemysłowéj zagranicy, ale zawsze z pewną otu-

chą powiedzieć można, że nastąpił już zwrot pomyślniejszy i że zrobiliśmy już początek, który w każdym kierunku pracy jest chwilą najtrudniejszą.

Kredyt, który za granicą zrobił zdumiewający postęp i uzyskał należyte przeważne stanowisko w szeregu ekonomicznych czynników, wywiera i u nas wpływ coraz większy i skuteczniejszy, który okupić wypadło chwilowemi stratami. Przed kilku bowiem laty, owładnęła Galicję przesadna pochopność do zakładania banków najrozmaitszych, bez zastanowienia się na istotne potrzeby, i do gorączkowego udziału w najróżnorodniejszych operacjach i grach giełdowych. To chwilowe hołdowanie nowoczesnéj szarlatanerji, doprowadzić musiało do przesilenia, które istotnie szybko się rozwinęło i pochłonęło niejedną fortunkę. Była to nauczka okupiona dotkliwą ceną ale bardzo skuteczna. Wyleczyliśmy się już bowiem ze zgubnéj manji i nauczyliśmy się uszanować rozumne podstawy kapitału i kredytu. Jeżeli podjęte w ubiegłym roku starania około rozszerzania towarzystw i banków zaliczkowych, doprowadzą do celu wytkniętego całéj téj agitacji, którym jest pomoc podźwignięcia uboższych klas, to w rozwoju dobrobytu zrobimy krok potężny.

Moralne zdobycze z ubiegłego roku nie są toż samo tak małe, jak je pessymistyczne sądy przedstawiają. I tutaj oczywiście czeka nas jeszcze ogromna praca, ażeby osiągnąć cel wytknięty od którego w skutek długiéj ospałości bardzośmy się oddalili.

W porównaniu zaś z dawniejszemi laty rok ubiegły niezaprzeczone przyniósł Galicji korzyści. Oświata publiczna uzyskała w podniesionéj przez sejm i dziennikarstwo sprawie przymusu szkolnego,skuteczną pomoc przeciw w nałóg obróconéj obojętności.

Jeżeli ustawodawcze załatwienie tej sprawy rychło nastąpi, to doczekamy się rychło pięknych owoców na tem polu. Dola nauczycieli wiejskich, tego skromnego a w dziejach rozwoju publicznéj oświaty i dobrobytu tak niesłychanie ważnego stanu, doczekała się jeżeli niezupełnéj naprawy to przynajmniéj uwzględnienia. Sejm zajął się już tą sprawą a jeżeli rzeczy normalnym pójdą torem, to spodziewać się można rychłego a pomyślnego załatwienia całéj kwestji. Seminarja nauczycielskie, które dopiero w ubiegłym roku weszły w życie, okazały się w praktyce bardzo skuteczną instytucją. Każde seminarjum posiada bardzo liczny zastęp słuchaczy, który nabywszy gruntowniejszego wykształcenia, snadniéj torować zdoła drogę publicznéj oświacie. Ponieważ kandydaci uczęszczający do nauczycielskich seminarjów, należą bez wyjątku prawie do kategorji najuboższéj młodzieży, więc sejm wyznaczył znaczną liczbę stypendjów dla pilniejszych kandydatów.

Zaprowadzony już od kilku lat w szkołach średnich wykład wszystkich przedmiotów w języku miejscowym, nie mógł przynieść w pełni spodziewanych korzyści dydaktycznych, gdyż w uniwersytecie lwowskim wykłady odbywały się w języku niemieckim. Nauczyciele gimnazjalni musieli walczyć z trudnościami niemałemi, gdy po uniwersyteckich wykładach niemieckich, przyszło im wykładać w języku polskim. Młodzież uniwersytecka innych wydziałów traciła także na tem, bo niemieckie wykłady na uniwersytecie w obec polskiego języka w szkołach średnich, były tylko anomalią śmieszną, a do tego i uciążliwą.

W roku ubiegłym dopiero doczekaliśmy pomyślnego zwrotu w téj sprawie. Ministerstwo hr. Hohenwarta z pominięciem rozwlekłéj procedury ustawodawczéj, energicznie wyrugowało z uniwersytetu lwowskiego język niemiecki, przenosząc profesorów Niemców do innych uniwersytetów, a mianując w ich miejsce profesorami docentów, którzy w polskim języku wykładają. Upadek ostatniego filaru germanizmu w Galicji, jest zasługą byłego ministra oświecenia dr. Irčjka. Tutaj najstosowniéj będzie zanotować, dwa inne dla Galicji nadzwyczaj korzystne czyny gabinetu hr. Hohenwarta. Za jego rządów upadł we Lwowie niepowrotnie teatr niemiecki, który jak pijawka nienasycona wydzierał dobroczynnéj fundacji Skarbkowskiéj ogromne sumy. Drugim faktem ogromnie korzystnym, było założenie akademji nauk i umiejętności w Krakowie.

Literatura może najmniéj odniosła korzyści w ubiegłym roku. Polityka górowała a wiadomo, że w Galicji tryumf polityki jest zarazem klęską dla literatury. To też przepadało mnóstwo pism literackich a te, które dotąd jeszcze istnieją, walczyć muszą z brakiem czytelników.

Pożytecznych prac na polu literatury i sztuki rok ubiegły wydał mało, za nadto mało. Z szeregu dzielnych i zasłużonych pracowników na tem polu, ubyło kilku wybitniejszych postaci, a miejsca po nich opróżnione, nie tak rychło zapewnie zapełnione zostaną godnymi następcami. Nauka, literatura i sztuka stanowią niezawodnie ujemną stronę dziejów ubiegłego roku.

Być może, że w przeglądzie tym pobieżnym przeoczyliśmy nie jeden fakt, który z osobna podnieść się należało. Ale z góry zastrzegliśmy, że nie piszemy wyczerpującéj historji wypadków ubiegłego roku.

Wprowadziłem Czytelniczki Tygodnika w błąd donosząc w poprzedniéj korespondencji, że w tym roku wbrew praktykowanemu dotąd zwyczajowi, nie powstanie we Lwowie tuzin nowych pism. Była to z mojéj strony poniekąd kary godna lekkomyślność, bo Lwów przecież odrazu nie może się pozbyć tak głęboko wkorzenionego nawyknienia. Chcąc błąd jak najspieszniéj sprostować, pospieszam z doniesieniem, że z nowym rokiem pojawi się we Lwowie kilka nowych pism różnéj tendencji. Najpierw wychodzić zacznie (a zapewne i przestanie) w r. 1872 nowe pismo codzienne *Kurjer lwowski*, podobny zupełnie, jak z programu wnosić można, do kurjerów warszawskich. Daléj wychodzić będzie pisemko dla dzieci *Promyk* który urodził się właściwie w Poznaniu, ale obecnie wraz z redaktorem swoim p. Władysławem Bełzą przeniósł się do Lwowa na stały pobyt. Doktór Dobieszewski przyczynił się także do téj wiązanki, zapowiadając wydawnictwo organu lekarskiego p. n. *Służba zdrowia publicznego*, a redaktorowie i wydawcy zgasłéj w połowie roku ubiegłego *Gazety literackiéj*, zrobili publiczności niespodziankę, zapowiadając uroczyście wznowienie wydawnictwa tak niefortunnie rozpoczętego i przerwanego. Najwięcéj hałasu wywołała wiadomość o zamierzonem wydawaniu pisma p. n. *Swit*, którego redaktorami i wydawcami mają być dwaj lwowscy akademicy. Dużo już pisano o Świcie, chociaż pismo to nieogłosiło jeszcze dotąd prospektu swojego, a wszystkie wzmianki o niem pełne są radości, i zachęty dla młodych wydawców.

(d. n).

O ubiorach.

— Wiemy jak ważną w życiu młodéj osoby jest chwila robienia wyprawy ślubnéj, to też dziś w porze w któréj najwięcéj kojarzy się małżeństw, zajmiemy nasze czytelniczki opisem wyprawy, zrobionéj dla młodéj 17 letniéj Warszawianki za mąż wychodzącéj.

Wyprawa ta powierzoną została p. Emilji Szpiner właścicelce pracowni na Krakowskiem-Przedmieściu na wprost kościoła Św. Anny mieszczącéj się.

Suknia ślubna biała atłasowa zrobiona była z tuniką podpiętą z tyłu, i obszyta puszkiem łabędzim i kokardami; stanik wycięty również przystrojony puszkiem. Welon illuzjonowy zarzucony na twarz, i girlandka mirtowa miały dopełnić ślubnego ubrania... Do toalety tej należała talma atłasowa biała w drobną kostkę pikowana i oszyta puszkiem.

Daléj widzieliśmy dwa kostiumy wizytowe jeden czarny poult de soie, przybrany w tak nazwane „wilcze zęby” spajane puklami tejże materji. Rękawy pół szerokie również zębami i puklami były oszyte.

Drugi kostium koloru „Giselle,” z tiuniką, która w podobny sposób jak spódnica przybraną została płaską falbaną w zęby spiralnie układaną. Falbany te podszyte były materją bronzową, co tworzyło wypustkę, a falbany w ten sposób układane sprawiły,iż suknia ta była w dwóch cieniach. Karoczek z tyłu fałdowany nie mniéj stanik i rękawy, dostały to samo przybranie. Przejdźmy teraz do sukien obiadowych lub wieczorowych. Na ich czele postawiemy czarną aksamitną powłóczystą, o dwóch stanikach. Suknia ta bardzo szeroka i długa niemiała na spódnicy żadnéj ozdoby, tylko stanik z baskiną oszyty był szmuklerską torsadą i frendzlą sznelową; rękawy szerokie. Staniczek wygorsowany miał bertę stosownie przybraną. Następnie suknia czarna poult de soie powłóczysta z tiuniką niezbyt długą tworzącą niby karoczek niby tiunikę, bogato oszyta koronką czarną imitacją na pół łokcia szeroką, i spięta do tyłu, dużą kokardą tworzyła bardzo zręczne ubranie. Do niéj zrobiono staniczek francuzki z szerokiemi rękawami, ubranemi koronką w wachlarze. Trzecia suknia była z niebieskiego „Gros grain” gładka, tylko stanik i karoczek oszyto koronką białą „Bruges” i riuszą niebieską. Do wygorsowanego stanika zrobiono „Vêtement” z białego tiulu brukselskiego w deseń i takąż koronką oszyty. Wreszcie suknia różowa atłasowa, bardzo powłóczysta, cały jéj dół strojny w bufki tarlatanowe białe i ruloniki różowe, od góry zaś spięta do tyłu bogatą kokardą białą, co tworzyło jakby wyłożenie, karoczek podobnie przybrany, od stanu zaś do połowy przedniego brytu pięły się dwa bukiety. Staniczek również bufkami ubrany.

Opisać także musiemy szlafroczek ranny, który swoją oryginalnością zasługuje na wzmiankę. Był on zrobiony z niebieskiéj popeliny, podbity ponsowym kaszmirem, a oszyty czarnym aksamitem, fason jego zresztą prosty z przodu, miał na plecach fałdę od stanu rzucającą się; rękawy podwójne: to jest jedne wązkie paltotowe, drugie szerokie „Rebeka” zwane.

Nadmienić tu musiemy, iż do wszystkich tych toalet dodane zostały stosowne kokardy, tak do głowy jak i do kołnierzyka.

Wyprawa ta bez zaprzeczenia należy do jednych z bogatszych, dodajmy do tego kilka sukien wełnianych domowych,palto aksamitne podbite tumakami, z wypustką, mankietami, naramiennikami futrzanemi i stosowną mufką; salopkę z peleryną poult de soie także na futrze, dwa kapelusze, jeden z nich popielaty okrągły z takimże piórem i skrzydełkiem ponsowem, drugi biały wiązany, przystrojony warkoczem, piórami, i różową różą — słowem młoda mężateczka na długo zaopatrzoną została w bogatą garderobę, gustownie i sumiennie odrobioną przez panią Szpinerową.

Na zakończenie powiemy jeszcze, że nie zapomniano i o innych częściach wyprawy. Bielizna obfita i cienka, pościel, np. kołdry i nasypki zrobione były z atłasu niebieskiego, (méxique) ten ostatni szczegół da poznać dostatecznie czytelniczkom, iż nieszczędzono pieniędzy na wzmiankowaną wyprawę.

Opis ryciny kolorowéj.

N. 1. UBRANIE WIECZOROWE. Na sukni z bardzo długim trenem z białéj jedwabnéj materji lub grenadiny, zakończonéj szerokim plisowanym wolantem, falbaneczkami marszczonemi. wyciętemi w ząbki i riuszą jedwabną niebieską,dana długa podpinana tunika. Stanik wycięty i zupełnie otwarte rękawy z niebieskiéj materji. Tylne bryty długiéj tuniki złączone są z przodu brytem wyciętym w kształcie fartuszka. Garnirunek składa się z falbanki oszytéj białą koronką i nagłówka wyciętego w zęby. We włosach białe róże i długie gałązki.

N. 2. UBRANIE WIZYTOWE. Na suknię ze stanikiem pod szyją i mocno powłóczystą. użyty jest materjał gładki, na tunikę zaś i rękawy wzięty ryps w jedwabne paski. Plisy i falbanki są z materjału w paski. Wyłożenie na rękawach i ranwersy przy tunice przyozdobione są guzikami. We włosach róża pąsowa z zielonemi listkami.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N. 1066k) Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 2. r. 1872.

WIELKI NIEZNAJOMY.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego,

w Dwóch Tomach.

(Dalszy ciąg).

Dumnym był nieco z tego iż w jego domu stał ten unikat, jakiemu równego drugiego nierychło miała widzieć Krynica.

Od gospody pod Różą do domku pani Emilji na drodze niby przypadkowo spotkali osób kilka, które chciały widzieć anglika, aby coś o nim módz powiedzieć. Hrabina, która już była o przyjeździe uwiadomioną, przyjęła Sir Williama nader wesoło i wdzięcznie, dziękując mu za dotrzymanie słowa. Równie prawie przyjacielsko przywitała Pilawskiego, na samym wstępie oświadczając mu, iż się bez niego nudziła. William był w humorze rzadko się anglikom trafiającym, młodym, wesołym, rozpogodzonym. Rozmowa naprzód padła na Tatry.

— Alp widziałem wiele i wspanialszych, rzekł anglik, wszystkie mniéj więcéj otacza pustynia i ubóstwo, człowiekowi w sąsiedztwie tych olbrzymów osiedlić się i wyżyć trudno. Wszyscy górale są potroszę do siebie podobni. Lecz, dla nas Europejczyków, dodawał, Tatry są najoryginalniejsze, bo stoją do dziś dnia prawie takiemi jakiemi je pan Bóg stworzył. Stan natury nietknięty, nie naruszony, to je dla nas drogiemi czyni. W Szwajcarji wszystko popsuła spekulacja, w Tatrach ludzie i ścieżki nieogładzone i tem ciekawsze. Dziko, głucho, pusto, głodno, można by sądzić być po za granicami Europy i cywilizacji — a to właśnie Tatry szacownemi czyni, i to, że ich nikt nie zna.

Sir William wychodząc z tego punktu widzenia, wszystko co spotykał, znajdował wielce zajmującem, obiecywał nawet, tak był zakochany w téj *terra incognita*, któréj pragnął być Kolumbem, iż na rok przyszły na dłuższy tu czas przyjedzie, aby na niedostępne drapać się szczyty i opisać swą wycieczkę w roczniki Alpejskiego klubu. Hrabina przyklasnęła temu zamiarowi. William był zgorszony iż fotografii piękniejszych widoków nie znalazł, obiecywał więc z sobą na swój koszt wziąć fotografa, wydać album itp. itp.

Pilawski milczał, więcéj potakując niż przecząc.

On także Tatry znajdował pięknemi i zamiast fotografa życzył im Calam'a.

Wśród téj rozmowy, hrabina odwróciła się do niego i zapytała po polsku: — byłeś pan u sąsiadki?

— U kogo?

— U pani Domskiéj! — ramionami ruszając dodała Palczewska.

Pilawski zarumieniwszy się nieco, głową potrząsł.

— A to niegrzecznie — rzekła z uśmiechem, — zostaw że mi pan anglika na pastwę, a sam idź, już ja wiem, że ci pilno.

Pilawski chciał się tłómaczyć, podług zwyczaju tupnęła nóżką. Idź pan, idź — nie wstydź się, a po wizycie wracaj na obiad do mnie. Anglika ja zabawię.

Zawahawszy się nieco, Pilawski wziął za kapelusz i poszedł. Dzień był, co rzadko w Krynicy, pogodny, spiesząc do hotelu, spostrzegł tego dnia po raz pierwszy wyszłe na przechadzkę obie panie, którym z boku, jakby przyczepiony towarzyszył Greifer. Jak tylko je zobaczył, skierował się natychmiast ku nim. Nim się zbliżył jeszcze, widział jak pan Stanisław, który szedł po stronie panny, niepatrzącéj na niego wcale, skłonił się żywo i ścieżką boczną, może dla uniknienia spotkania z nim, odszedł. Wzrok Elwiry zwrócił się zdala ku niemu. Gabriel prawie się przeląkł widząc jéj twarz zmienioną, bladą i wyrazem wewnętrznéj boleści okrytą. Dojrzał też, iż matka, zobaczywszy go z wyraźną intencją udawała, że nie widzi i oczy w przeciwną skierowała stronę. Szły powoli ku cieniom i laskowi.

Pilawski pospieszył je przywitać, dziwnym wzrokiem zmierzyła go Elwira, pani Domska oddała mu ukłon lekkiem głowy skinieniem i znowu odwróciła się od niego. Nie spytano go nawet przez grzeczność o podróż, o zdrowie, obie panie osobliwszym sposobem były nieme i zakłopotane. Pilawski widział jawnie, iż tu coś zaszło, czego sobie wytłumaczyć nie mógł, coś jemu szkodliwego. Pobladł i zmięszał się.

Kilka kroków przeszli tak w milczeniu, w ostatku Pilawski się odezwał stłumionym głosem.

— Zapewne przeszkadzam, chciałem tylko przywitać, widząc że i pan Greifer był natrętnym, to mnie ośmieliło. Może pani chce spocząć? zwrócił się do matki.

Odpowiedziano mu coś niewyraźnie, ale oczy Elwiry w zastępstwie ust, zdawały się zapowiadać, że potrzebują rozmowy poufnéj — pociechy.

— Czy pani nie była chora? zapytał Gabriel.

— W istocie, pospieszyła za córką odpowiedzieć matka. Elwira i była i jest chorą jeszcze, lekarz nakazał spoczynek. Miałyśmy już wyjeżdżać, tu powietrze nie służy.

Nie chcąc na ten raz narzucać się dłużéj, i widząc że zamiast miłego przyjęcia, jakiego się spodziewał, spotykało go zimne i nienaturalnie milczące ze strony Elwiry, sądząc, że może w czem przeszkodził tym paniom, Pilawski ukłonił się i odszedł, smutny, zadumany, przemyślając nad tem jak i gdzieby mógł nie zwracając oczów, pomówić z Elwirą. Czuł sercem, iż jakieś tłumaczenie, wyjaśnienie było potrzebnem.

Mocno zaniepokojony, chwilę się wstrzymał rozmyślając, co z sobą pocznie, czy ma powrócić do hrabiny, czy pójść skupić ducha w samotności, aby wynaleść środek widzenia się z Elwirą. Spojrzał na zegarek, było już prawie dwie godziny jak wyszedł z anglikiem, do obiadu u pani Palczewskiéj dość jeszcze czasu... Skierował się więc ku Hotelowi. Szedł ścieżką ze spuszczoną głową, gdy jakby przeczuciem, podniósłszy ją nagle, ujrzał naprzeciw siebie kroczącego mężczyznę, który jak tylko go postrzegł w górę podniósł kapelusz i uśmiechnął się z radością wielką. Natomiast Pilawski osłupiał, zbladł, załamał ręce i stanął jak wryty. Widocznem było, że to zjawisko niemiłe, pomięszało mu wszystkie szyki...

A było w istocie oryginalne. Młody mężczyzna wykrygowany, wyelegantowany, wyfryzowany, przypominał powierzchownością paryzkiego fryzjera z modnego magazynu na bulwarach. Człowiek ten nie szedł, ale, rzekłbyś, tańcował idąc, tak stawiał kroki z pamięcią o tem, ażeby wdzięcznie się wydawały. Układ jego cały nienaturalny był, wyłamany, ręce pozaokrąglane, głowa podniesiona z pewnem przechyleniem na bok nadawać jéj mającem melancholiczną fizjognomję wierzby płaczącéj. Lśniły się na niéj włosy utrefione, wypomadowane, rozdzielone starannie i ułożone z obu stron skroni z głębokim namysłem by malowniczo wyglądały. Wąs śpiczasto zakończony dwoma sznureczkami i bródka hiszpańska, długa, nader starannie wypielęgnowana, przy białéj i bladéj cerze, odbijały jak na źle kolorowanym obrazku. Z pod białego jak śnieg kołnierzyka, niebieski, lazurowy krawat wyglądał, uciśnięty szpilką, na któréj zręczny złotnik związał w trofeum szpicrutę i dżokejską czapeczkę, podkowę i strzemię, godła sportu. O reszcie stroju dobranego właściwie do tych premissów, mówić byłoby zbytecznem. Lakierki były z guziczkami i szyte białym jedwabiem, dalsze ubranie z lampasami, kamizelka otwarta wdzięcznie, a przy niéj zwieszał się zegarek z łańcuchem, wedle wszelkiego podobieństwa ze złota talmi, niezmiernéj grubości, dźwigającym pieczęć, medaljon ogromny emaljowany i całą kolekcją ciekawości różnych, między innemi mikroskopijną armatę...

Nim się miał czas ów elegant odezwać do pana Pilawskiego, Gabriel zawołał głośno:

— Ale po cóżeś tu u licha mnie gonił i po co? po co?

— Przepraszam pryncypała — rzekł zmięszany nieco młodzieniec, — były interesa naglące, ja nie mogłem ich brać na moją odpowiedzialność. Pilawski przyskoczył doń żywo, schylił mu się do ucha, poszeptał coś kilka minut żywo i dodał.

— Rozumiesz mnie?

— Rozumiem — cicho szepnął elegant.

— Niezapomnisz.?

— Broń Boże!

— Idzie mi o to wielce — dorzucił Pilawski. Nawet jeśli można, wolałbym, ażebyś rozmówiwszy się ze mną natychmiast powracał.

Twarz biednego przybylca przeciągnęła się.

— Proszę pryncypała, rzekł smutnie — kiedy już tyle się drogi zrobiło... ja ręczę, że tam wszystko pójdzie jak należy.. niechby mnie wolno było choć dzionek.. dzioneczek...

— Ale ja ci tydzień daję, byle nie tu, nie tu. Jedź sobie do Szczawnicy, zabaw się! A tu... gotoweś mi się wypaplać, gotów cię kto zobaczyć, ja będę w trwodze.

— Niech że mi pryncypał zawierzyć raczy... już kiedy się słowo rzeknie, to się dotrzyma. Człowiek siedzi i pracuje.

— Dam ci wakacje.. dam! zawołał Pilawski. — tylko nie tu.

— Ja ich teraz sam nie wymagam, bo interesa są pilne.. lecz kiedy już tyle się drogi uczyniło.

Pilawski ręką machnął. Elegant który dotąd stał z kapeluszem w ręku, trzymając go nad głową, nakrył ją i począł iść za pryncypałem swoim z pewnem uszanowaniem, tak się obrachowując aby mu pół kroku naprzód zawsze zostawić. Nieszczęśliwe-

mu Pilawskiemu którego twarz okryła się smutkiem, nawet sąsiedztwo tego młodzieńca, zdawało się niezmiernym ciężarem i przykrością. Szedł jak na ścięcie, wiodąc go za sobą, niespokojnie rzucając oczyma dokoła, czy ich kto nie widzi. W istocie elegant był kompromitującym. Wypiętnowana na nim była ta elegancja z talmi złota, która do prawdziwéj tak się ma jak kolorowana litografja do obrazu Rafaela. Młodzieniec zdawał się tymczasem zadowolniony nadzwyczaj z siebie, przejęty błogo gustownością i pięknością swéj postaci. Szedł wyzywając oczów, by nań patrzały, serc niewieścich, by je podbijał. Kiedy niekiedy spoglądał sam, to na wielki medaljon wiszący u dewizek, to na lakierki stebnowane w figle różne, to na zielone, majowe, krzyczące rękawiczki glansowane, pozapinane tak, że ogromna ręka ledwie się w nich mieściła. Pilawski wciąż idąc, powtarzał jeszcze:

— Ale po co było przyjeżdżać? po co?

— Proszę pryncypała ja nie mogłem brać tego na moją odpowiedzialność.

Tak weszli do gospody pod Różą, Pilawski pospieszył z nim do swego pokoju, oglądając się jeszcze czy ich kto na schodkach nie spotka, i zamknął się z nim na klucz na długą rozmowę.

Tymczasem postać tak wdzięczna i strojna nie mogła przejść od hotelu warszawskiego przez całą Krynicę, niezwracając ciekawych oczu. Lakierowane buty, zielone rękawiczki, lazurowy krawat, medaljon ogromny, kapelusz jak lustro świecący, sam chód nawet i krygi powszechną obudziły uwagę. Ujrzał go pierwszy Greifer i zobaczywszy, że się witał z Pilawskim, z nim poszedł do hotelu i poufale rozmawiał, jako człek baczny, który ze wszystkiego umie korzystać, natychmiast pobiegł na zwiady. Niewinny ks. Brzoza idący z brewiarzem, powiedział mu na pytanie, iż przypadkiem wie, iż ten młodzian przybył wczora w nocy, zajechał do Warszawskiego hotelu, pytał zaraz o Pilawskiego i ubrawszy się, do niego poszedł. Ks. Brzoza, sam stojąc w tymże domu, mimowolnie się o tem dowiedział. Grejfer czując, iż mu to się na coś przydać może, posunął się do dobrze znajomego gospodarza hotelu. A że ten zwykł był utyskiwać na pustki i brak gości, miał dobry assumpt do rozpoczęcia rozmowy. Utyskiwanie trwało.

— Wczoraj ci tu przecie ktoś zajechał.

— A co mi tam z niego!—zapowiedział, że nie dla wód tylko za interesem do tego pana Pilawskiego. Zabawi może dwa dni i powraca. Co to za gość, kiedy jak po ogień nie jak po wodę przyjechał.

— Cóż to za jeden?—zapytał p. Stanisław.

— Kto go wie? Zapisał się Jerzykiewicz z Warszawy.

— No ale stan zajęcie? któż? co?

— Dał tylko sztrych w książce, któż go tam będzie pytał? Co mnie do tego, byle paszport miał. Wygląda to prawda na fryzjera, tylko że takich teraz elegantów co nie miara, którzy nie lepiéj od niego się prezentują.

— Jerzykiewicz!—powtórzył parę razy Greifert. Czy będzie u was jadał?

— Nie mówił, lecz jeśli na godzinę się nie stawi, czekać nie myślę.

— Jerzykiewicz!—powtórzył jeszcze dla wbicia w pamięć nazwiska Grejfert. Zagadał potem o czem innem, pożegnał się i poszedł.

Łatwo było rozrachować, że przybyły za interesem do Pilawskiego, znał jego i stosunki pana Garbrjela najlepiéj, cenna więc rzecz była dobyć coś z niego. Niemniéj baczny na każde poruszenie żywotne w Krynicy, pan Karol Surwiński już go też widział, już doszedł po co i dla czego przybył, a równie — może więcéj niż pierwszy, był interesowanym wywiedzieć się dokładnie od tego, jak sobie wyobrażał oficjalisty pańskiego — o panu. Oba więc czyhali na młodzieńca w lakierkach, obiecując sobie jeść z nim obiad w hotelu Warszawskim. Jerzykiewicz ani się domyślał nawet, iż nań spiski knuto.

Zamknięty na klucz z pryncypałem, zmęczył się rozmową z nim i jakiemiś rachunkami aż do godziny późnéj, tak iż w hotelu Warszawskim czas obiadowy przeszedł. Pilawski zapomniał też o stawieniu się na obiad do hrabiny i przysłano po niego, a że drzwi były zamknięte musiano stukać i dobijać się. Gabriel przestraszony uchyliwszy drzwi zapewnił kamerdynera, iż natychmiast przychodzi, papiery jakieś ze stołu zrzucił do kuferka, eleganta uwolnił, a sam pobiegł co prędzéj do pani Emilji, bo zupa była rozdana i nie czekając nań zajadano.. Nie spytano go przez grzeczność gdzie był i dla czego się tak zabawił. Pilawski też nie tłumacząc się siadł. Rozmowa hrabiny z anglikiem była niezmiernie ożywioną.

Tymczasem nieszczęśliwy ów elegant, którego zamiast wdzięczności pryncypała spotkała wymówka, po co przyjechał zmęczony drogą, utrapiony piekącemi ciasnemi lakierkami, głodny, wyszedł z hotelu pod Różą, nie myśląc o niczem, tylko ażeby coś przekąsić.

W Warszawskim dawno było po obiedzie. Grejfer i Surwiński palili cygara w jadalni przechadzając się obrus jeszcze był na stole.. i dwie solniczki osamotnione jak wyspy na oceanie poświadczały o zjedzonych przysmakach. Gdzieniegdzie walały się okruszyny chleba i czerwony Vöslauer zostawił ślady starannego farbowania jakiemu uległ w fabryce. Pan Jerzykiewicz wszedł, zmierzył okiem stół i westchnął, zanim nadbiegł uprzejmy gospodarz..

— Czy pan jadł?

— Nic, od rana nic w gębie nie miałem — smutnie odezwał się Jerzykiewicz.

— Zupą, sztuka mięsą i naleśnikami służyć mogę — rzekł właściciel hotelu.—A wino?

— Pół butelki czerwonego, bąknął nieśmiało elegant i — gdyby tak był kieliszek wódki?

— Żytniéj, kontuszówki czy kminkowéj?—przerwał z pewną dumą, wyliczając swe zapasy gospodarz.

— Co z brzegu, to nieprzyjaciel!—weseléj bąknął Jerzykiewicz, i usiadł na krześle. Tu rozpoczęła się operacja zdejmowania obcisłych rękawiczek, z pod których wyszły zmoczone i krwią nabiegłe ręce na światło dzienne. A że dzień był gorący, zielona barwa glansowanych rękawic umarmuryzowała pięknie dłonie eleganta. Popatrzał na to melancholicznie i zdawał się godzić z przeznaczeniem.

W czasie tego epizodu, Surwiński i Grejfer z cygarami przechadzali się po obu stronach stołu, jeden od drzwi do komina, drugi od komina do drzwi. Surwińskiemu los pobłogosławił tak, iż z jego strony siadł Jerzykiewicz, miał więc nadzieję że prędzéj rozmowę zawiązać potrafi. Greifer rachował na swą zręczność i śmiałość, na obycie się ze światem pod Baranami, w Łańcucie i Krzeszowicach.

Chłopak *en manches de chemise*, przyniósł naprzód wódkę, któréj spory kielich nalał sobie gość i wypił jak należy, z widocznem zadowolnieniem. Potem solił chleb i jadł głodny. Oglądał się na chodzących kiedy niekiedy, lecz nieokazując ochoty do rozmowy. I Surwiński i Greifer myśleli od czego by począć. Tylko pan Karol czujący współzawodnika w panu Stanisławie rachował. Jak ja pocznę, to ten się przyczepi, wmięsza i zbierać będzie owoce. Nie zmilczę, niech on zacznie. Greifer śmielszy stanął naprzeciw Jerzykiewicza, sparł się oburącz o stół, popatrzał i rzekł:

— Pan dobrodziéj dla kuracji?

Jerzykiewicz mimo ust pełnych chleba z solą, co prędzéj się uwinąwszy z nim odparł grzecznie.

— O, nie, ja tego panie dobrodzieju dla interesów pryncypała.

Ledwie wyrzekł tego nieszczęsnego pryncypała, pożyczonego z handlowéj nomenklatury niemieckiéj, gdy sobie przypomniał, że powinien był milczeć. O mało się za język nie ukąsił.

— No źle, rzekł w duchu—ale licha zjedzą żeby ze mnie dobyli co więcéj.

— Pan z Warszawy?—spytał Greifer.

Jerzykiewicz pod świeżem wrażeniem potrzeby milczenia, chciał zmydlić. Nie było podobna, w książce stało, że z Warszawy jechał. Pomyślał: no, toć przecie żadna tajemnica.

— A, tak! z Warszawy, z Warszawy, — i dokończył w duchu. — Więcéj ani słowa!

Z boku stało krzesło, Surwiński na niem przysiadł się i popatrzywszy na Greifera z pewnym rodzajem politowania, począł:

— Prawda. iż z tych płaszczyzn mazowieckich do naszéj pięknéj Galicji przybywszy, musi się serce radować. Śliczny kraj, panie!

— Ale drogi, panie, kościołomne!—rzekł Jerzykiewicz. Kamienie, korzenie, doły, dziury, i na kości arcy niewygodnie.

— Wózki te góralskie trzęsą, dorzucił Greifer.

— O trzęsą ja, com do dróg prywatnych nie nawykł.—mówił Jerzykiewicz.

Ale w chwili gdy już czynił to zeznanie, pomiarkował, że dopuścił się nieostrożności, po co było się do tego przyznawać? Urwał i zamilkł, wniesiono bowiem zupę bladą, wśród któréj wężowe zwitki makaronu w przyjemny gzygzak się składały. Dobywanie tych misternych zwojów niełatwe, usprawiedliwiało chwilowe milczenie. Greifer tymczasem rozpatrywał się w człowieku.

— To jakiś naiwny chłopak! rzekł pociągnąć za szunurek, dobędzie się z niego, co trzeba.

Surwiński patrzał też, szukając w nim *a priori*, czy był plenipotentem, sekretarzem, kasjerem, archiwistą lub kontrolerem wielkiego nieznajomego.

— Pan nie musisz mieszkać na wsi, jeśliś do złych dróg nie nawykł — odezwał się Greifer — boć one po wioskach wszędzie takie jak u nas?

Pytanie było pułapką. Jerzykiewicz domyślił się tego, ale jak żył nie był nigdy w położeniu takiem, by potrzebował się z czem taić i szło mu to ciężko. Jakże było nie odpowiedzieć, a odpowiadając jak było się nie zdradzić.

— To jest tego,—odezwał się po namyśle. są szosy.. panie dobrodzieju są szosy.

Szczęśliwie mu się to bardzo udało, sam przynajmniéj bardzo był zadowolniony— odpowiedział i nie powiedział nic.

— Dobra nad wielkim traktem,—zapisał sobie Surwiński — oczywiście, o ile sobie przypominam.. Międzyrzeczczyzna.. Zdradza się kawaler.

Greifer nie był kontent. Podano sztukamięsę, chrzan, ćwikłę i musztardę. Jerzykiewicz zatopił się w dobieraniu przyprawy. Po zupie czas był napić się Vöslauera, a że dla prozopopei pił szklanką, gospodarz zaś zamiast pół butelki dał całą, wychylił szklanicę dużą, nieważając na to iż wódka już zupą rozgrzana w głowie szumiała. Napój ten dodał Jerzykiewiczowi bystrości umysłu i rzekł w duchu. Chcą gadać? to dobrze, ale póki oni mnie będą brali na pytki, trudno mi się przyjdzie wykręcić, zażyję ich z mańki, sam pocznę.

Jakoż począł wychwalać piękności Krynicy, a że znać nie był wprawny do kreślenia krajobrazów

wprędce przekonał Greifera, iż nienależał do wybranych. którzy się po salonach obracać zwykli.

— Chłopak wyelegantowany, jak perukarz na niedzielę, a — osioł, rzekł Greifer — cóż on może za rolę odgrywać przy tym pryncypale?

Im więcéj mówił pan Jerzykiewicz, tem się bardziej plątał. Sam Surwiński odkrył, że musiał to być oficialista miejski, zapewne z głównéj kancellarji gdyż o wsi, lasach, polach itp. plótł androny. Greifer się niecierpliwił i powtarzał sobie: — osioł!

Tak przeszła sztukamięsa i dojechano do naleśników z powidłami.

Surwiński dotrzymywał placu uparcie. Pan Stanisław zniecierpliwił się. Oba patrzyli na siebie koso.

— Gdyby mi ten świeżo wypieczony salonowy fiiar nie przeszkadzał, dawno bym był w domu —mówił Surwiński. — Żeby nie ten stary nudziarz, we cztery oczy zrobiłbym z nim co chciał, wzdychał Greifer. Jerzykiewicz zaś, po drugiéj szklance wina, oddawał sobie sprawiedliwość. Jeśli się co chcieli ze mnie dowiedzieć — bardzo się oszukają — oho!

Pan Stanisław znudzony zapalił drugie cygaro, ukłonił się, trzasnął drzwiami i poszedł, Surwińskiemu oczy zajaśniały — przysunął się z krzesełkiem do Jerzykiewicza.

Miał on starą metodę jeszcze zbliżenia się do ludzi, prostą ale skuteczną. Zadzwonił — chłopiec w kamizelce wszedł. Daj ty mi tu butelczynę starego węgrzyna i parę kieliszków — rzekł do niego.

— Parę kieliszków? podumał Jerzykiewicz, cóż to on myśli?

Chwilę trwało uroczyste milczenie, obiad się kończył. Jerzykiewicz niepostrzegłszy się kwaskowatego Vöslauera dopił do dna. Było mu jakoś dobrze na świecie, zapalił cygaro.

— Państwo tam w téj Warszawie dobrych cygar nie macie! rzekł Surwiński,— pozwolisz, szanowny panie, że mu będę służył suchem i co się zowie smacznem.

Elegant przestraszył się nieco i począł kłaniać, ale jakże było cygara odmówić.

— Kieliszeczek węgierskiego? zapytał stary.

— Ale panie dobrodzieju — ja tego, — ja tego, ja nie tego, bąkał Jerzykiewicz. - Prawdziwie, żeby nie było zanadto, i cóż ja nieznajomy.. przecież niezasłużyłem.

— Daj mi pan pokój, ozwał się pan Karol, ja stary, wać pan młody — ja tu w domu, waćpan podróżny... u wód, taki zwyczaj — nie rób ceremonji.

Jerzykiewicz przyjął kieliszek, skosztował — po Vöslauerze wino mu się wydało przedziwne.

— Co się zowie! zawołał napiwszy się.

— Bo to tu Węgry tuż, zapasem — odezwał się Surwiński. Zabawisz tu pan długo?

— Ah, nie, choćbym chciał.. muszę wracać.

— Do interesów! dodał p. Karol.

— A no tak, jest tego na głowie.

— U wielkich panów, w wielkich dobrach to tak zawsze, rzekł niby bardzo naturalnie p. Karol chcąc podchwycić oficialistę wielkiego pana. Spojrzał, a Jerzykiewicz postawiwszy kieliszek, zaczął się śmiać i śmiał się, ale śmiał się, jak by najdowcipniejszy koncept usłyszał. P. Karol myślą swoją przejęty, był pewien, iż śmiech pochodził z tego, że on tak doskonale odgadł, i sam też śmiać się z radości począł, a nieznacznie kieliszek Jerzykiewiczowi dolał. Staremu aż łzy z oczów popłynęły.

— Na Pilawskiego dosyć spojrzeć, dorzucił cicho P. Karol, pozna w nim każdy łatwo wielkiego pana i pana z antenatów.

— Hę? podchwycił, już nie śmiejąc się, ale okrutnie zdziwiony Jerzykiewicz.

Surwiński był pewien, że go pochwycił.

— No, tak! tak! rzekł poważnie — nie ma on się tu z czem taić, nie masz waćpan przedemną robić sekretu. Jam go wnet się domyślił.

— Ale dali pan — zawołał rozgrzany jakoś Jerzykiewicz—mnie tam nic do tego wszelako— tego.. pan dobrodziéj uprzejmym jesteś człowiekiem, nie chciałbym go zostawić w błędzie — nie powiem nic, bo mi gadać niewolno, tylko tyle, że tak nie jest! tak nie jest!

— Daj już pokój! wiem, że ci gadać niewolno.. to dosyć — a ja co wiem, to wiem!

Jerzykiewicz patrzał i znowu począł się śmiać. P. Karol śmiał się także, dolał kieliszek, i tak zażyli, jak to po staroświecku mówiono — w czasu sobie, uśmiawszy się do woli.

— Ja od waćpana niewymagam, ani żebyś mi jego nazwisko mówił, ani żebyś zakaz przestępował. Owszem jeśli p. Pilawski chciał zostać *incognito*, miał pewnie swe powody ku temu, szanujmy je... Wielcy panowie mają wyższe konsyderacje.

Jerzykiewicz ręką machnął, kieliszek wywrócił i od stołu wstał, bo mu śmiech usiedzieć nie dozwalał Na tem się też skończyło. Surwiński go uściskał, dopili do lagrów, pocałowali się, pożegnali i stary miał odchodzić, ale mu pewna uwaga przyszła — zawrócił. Słuchaj asindziéj, rzekł do ucha zdumionemu Jerzykiewiczowi. —Uważałeś waćpan tego, co tu siedział, tu z początku obiadu? To ciekawiec, który rad z asindzieja co wyciągnąć — będzie na niego polował, proszę cię, nie daj mu się.

Elegant zapewnił, że wcale się w rozmowę nie wda i tak się nareszcie rozeszli.

Korzystając z wieczora Jerzykiewicz z cygarem poszedł przechadzać się po lasku.

Po lasku właśnie chodziła bardzo piękna panna, z małą dzieweczką. Była to Elwira z córką pani Jaworkowskiéj i synkiem, która się ofiarowała dzieci przeprowadzić i zabawić mając jakąś nadzieję, iż może — gdzie przypadkiem spotka Gabriela. Czasem są ludzie, którym takie szczęście służy, że spotykają tych właśnie, których widzieć pragnęli.

Stało się i tym razem, iż los poszczęścił — komu z nich dwojga, nie wiem. Minąwszy bardzo pociesznego Jerzykiewicza, który z cygarem w ustach paradował jakby na teatrze i uśmiechnąwszy się z niego, biorąc go za kuglarza przybyłego do Krynicy by pokazywać sztuki — panna Elwira postrzegła zdaleka nadchodzącego Gabriela. Serce uderzyło, niepomnąc na to, że się może skompromitować, nieważając, iż elegant w zielonych rękawiczkach nie bardzo się był jeszcze oddalił, panna Domska pospieszyła wprost ku niemu. Po jéj twarzy zdala poznać mógł, iż smutne jakieś wrażenie nie zniknęło z niéj, zwiększyło się raczéj niepokojem.

— Na miłość Boga, zawołał, przystępując żywo, Gabriel — co pani jest? Byłaś pani chora! tak? ale to nie choroba zmieniła jéj rysy i oblokła je tym smutkiem.. jeśli mam choć odrobinę łaski...

Elwira chciała mówić, ale mała Jaworkowska w wielkich pretensjach, stawiła się tuż przy niéj, nieodstępując na krok, zwyciężonym wzrokiem i słuchem; rozmowa stawała się niepodobną. Oczyma wskazała Elwira na nią; szczęściem, tak się już tego dnia wszystko składało, że despotyczny braciszek przyszedł się od niéj domagać, aby poszła z nim grać w wolanta i owa słuszna panna, wyrzekłszy tylko po cichu — te nieznośne dzieci! za panem bratem pójść musiała.

— Co pani jest? powtórzył Gabriel.

— Co mi jest! odezwała się smutnym głosem Elwira — powiem panu jednem słowem, na sercu mi ciężko! leży na nim kamień, wieko grobowe, oddychać nie mogę. Byłam chora, jestem znękana.. chciałabym ztąd jak najrychlej wyjechać.

— Czy mogę w imię najszczerszéj przyjaźni domagać się wyjaśnienia? zapytał Gabriel.

— Winnam je panu, rzekła Domska,— ale jestto dla mnie ciężkiem, przykrem i lękam się go. Choćbyś pan miał najgorsze o mnie powziąść wyobrażenie, przyznam się, że to zmartwienie, którego doznałam, wynikło z pańskiéj przyczyny.

— Z przyczyny mojéj, mojéj? krzyknął przestraszony Pilawski, — ale cóż ja uczyniłem, czem mogłem?

— Posłuchaj pan, mówiła Elwira — będę miała męztwo wyspowiadać mu się ze wszystkiego. Nie wiem czy może człowieka większe spotkać nieszczęście, jak gdy się zawiedzie na kimś, w kim szlachetną duszę uczuł, w kogo uwierzył. Nie będę taić, żeś mi się pan wydał takim właśnie uczciwym, zacnym, szczerym człowiekiem. Zachwiano we mnie wiarę w niego, zabolałam.

Stanęła i spojrzała nań. Gabriel stał blady jak ściana, tylko oczy mu się iskrzyły blaskiem jakiegoś szlachetnego oburzenia i gniewu.

— Któż? co mógł pani powiedzieć o mnie? wyjąknął z trudnością Pilawski.

— Kto, tego panu nie wyznam, nie mogę, mówiła spokojniéj Elwira — ale rzucono na was — spodziewam się, potwarz.. Ja nie chcę ani wam jéj powtarzać, ani was do tłomaczenia z życia pociągać, daj mi pan rękę i słowo, że nie masz sobie nic do wyrzucenia, coby jego charakter kalało.. że.. ah mój Boże, — powiem wszystko .. zrobiono pana.... szulerem z profesji.

Gabriel spojrzał i rozśmiał się, ruszając ramionami.

— Przysięgam pani na Ewangelję i co jest najświętszego w świecie, żem w ręku kart nie trzymał, że nie gram nigdy.

Oczy Elwiry zabłysły radością.

— To po prostu jest jakaś niepojęta omyłka, lub ohydna zła wola.. to nie ma sensu.

— Byłam o tem przekonana, oddychając wolniéj odezwała się Domska — teraz — skończone wszystko, nie pytam więcéj.

Gabriel pochwycił jéj rękę i przyłożył ją do ust przejęty, rozczulony. Bóg łaskaw, rzekł, spodziewałem się zmartwienia, ciosu, zesłał mi najwyższą pociechę, bo dowód współczucia od pani, której szacunek jest dla mnie najdroższym skarbem.. Ah niechże będą dzięki losowi, który dotknąwszy niesłusznie, tak płaci za ciosy. Zamyślił się chwilę.

— W istocie, rzekł powoli — sam winienem wiele, oblokłem się tajemnicą, nikt nie wie nic o mnie, domyślają się rzeczy najgorszych. Pozwól jednak pani abym i dziś nawet pozostał dla niéj — nieznajomym: mam ważne powody. W mem życiu nie uczyniłem nic, czego bym się miał wstydzić, a pomimo to.. są rzeczy, z któremi taić się muszę, bo może by mnie od pani na wieki rozdzieliły. Nie żądaj pani wyjaśnienia tajemnicy, zniknie ona wprędce, odsłonię się cały i niepowstydzę.

— Ale czyż ja nawet wiedzieć nie mogę? zapytała Elwira.

— Nie żądaj pani — zakończył Pilawski — w téj chwili — nie mogę — o, nie, nie!

(d. c. n).

DOMBEY I SYN

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

KAROLA DICKENSA.

(Dalszy ciąg).

Tom II.

I.

Kapitan Cuttle daje dowody niemałéj przebiegłości.

Przez dni kilka, Walter żywił jeszcze acz słabą nadzieję, że Dombey może zmieni swe zamiary co do jego podróży, i skutkiem tego ociągał się z udzieleniem wujowi tak smutnéj wiadomości. Widząc jednak że czas upływa, nic w tym względzie nowego nie przynosząc, postanowił nie liczyć więcéj na jego pomoc i zabrać się niezwłocznie do spełnienia tego przykrego obowiązku.

Nie była to co prawda, łatwa robota. Walter wiedział zawczasu, jak strasznym będzie ów cios dla starca, i tem bardziéj się tą myślą dręczył, że od pewnego czasu uważał, iż stary Sol coraz swobodniejszym się staje na umyśle, tak iż nieraz izdebka od tyłu widywała go krzątającym się i gwarzącym wesoło po dawnemu.

Pierwsza rata długu zaciągniętego u Dombeya została wypłaconą w oznaczonym czasie, i Salomon cieszył się nadzieją, że z reszty potrafi się podobnież uiścić gdyż handel szedł jakoś obecnie trochę lepiéj; jakże więc bolesnem było dla Waltera w takiéj właśnie chwili, znowu go w rozpacz pogrążyć!

Pozostawał przecież jeden środek ratunku. Wszakże mógł Walter nie chcieć wyjechać i odmówić przeznaczonéj mu posady? Tak jest, mógł to wprawdzie uczynić, wszelako w jego przekonaniu nie wypadało mu tak postąpić względem Dombeya, mając dla niego tak wielkie obowiązki wdzięczności. Przytem, wiedział dobrze, iż nie był w łaskach u swego pryncypała, przeczuwał że gdyby nie spełnił w tym razie jego woli, dalszy pobyt w kantorze stałby się nie możliwym; zresztą, sam sposób w jaki ta wola została mu objawioną, aż nadto go o tem przekonywał. Zdało mu się, że wtedy dostrzegł w oczach Dombeya pewien wyraz pogardy, dający do myślenia, że go miał za próżniaka, który rad był żyć wygodnie kosztem ubogiego wuja, i dla tego postanowił zmienić owo zdanie swego zwierzchnika, zabierając się do pracy jeszcze gorliwiéj. Walter był nadto młodym i niedoświadczonym, aby się potrafił domyśleć, że nie zdolności jego i pracowitość, ale tylko bierna uległość mogła się podobać człowiekowi takiemu jakim był Dombey. Czuł wszelako po nad sobą ponury cień jego niezadowolenia, i jakkolwiek nie znał jego powodów, wiedział że nic przeciw temu nie może poradzić. W rzeczy saméj, sprzeczność natury tych dwóch ludzi stawiała pomiędzy niemi zaporę niepodobną do przebycia; samoistność duszy młodzieńca wydawała się zuchwałem wyzwaniem dumnemu bogaczowi, przed którego potęgą wszystko musiało się korzyć.

— Nie ma co zwlekać, potrzeba raz to załatwić, rzekł do siebie Walter, rozważywszy całe położenie, — dłużéj z tem się ociągać jest niepodobieństwem.

Powziąwszy to postanowienie, nie uczuł się jednak dość mężnym, aby sam zwiastować wujowi ową przerażającą nowinę, i zamierzył odwołać się znowu do przyjaźni kapitana. Doczekawszy się tedy niedzieli, wybrał się do niego zaraz po śniadaniu.

W drodze, doznał pewnego zadowolenia przypomniawszy sobie, że każdéj niedzieli wdowa Mac-Stinger wyprawiała się na całe rano w dość odległą część miasta, dla słuchania nauk wielce od niéj cenionego kaznodziei, przewielebnego Melchisedecha Howler. Znakomity ów człowiek stracił był niegdyś posadę, którą zajmował w magazynach kompanii Indyjskiéj, skutkiem rzuconéj na niego potwarzy, jakoby miał zwyczaj przewiercać świdrem beczki pełne rumu i usta do dziurki przykładać, ale był to niezawodnie szatański wymysł jego wrogów, nie mający żadnéj podstawy. Znieważony w ten sposób zacny Melchisedech, przepowiedział koniec świata na rok następny, właśnie w tymże samym dniu i godzinie. Odtąd wyraźnie tknięty łaską Bożą, oddał się wyłącznie zawodowi apostolskiemu, i nająwszy wcale pokaźną salę, zapowiedział iż zamierza wykładać całkiem nową naukę. Na pierwsze posiedzenie, zebrało się dosyć słuchaczy, ale gdy w pobożnym zachwycie owi nowi adepci, rozpoczęli jakiś taniec mistyczny, nie przygotowana do podobnych nadużyć posadzka zawaliła się pod niemi, i wszyscy z nią razem runęli do kuchni znajdującéj się pod spodem. Owego pamiętnego wieczoru w którym komornik Brogley, odebrał tak niespodziewanie swą należytość, kapitan Cuttle opowiedział w przystępie dobrego humoru całe to zdarzenie w izdebce za sklepowéj. Kapitan chodził co niedziela i zawsze o jednéj godzinie, do pewnego kościoła, który upodobał sobie był szczególnie dla tego, że na nim w dni świąteczne wywieszano flagę Wielkiéj Brytanii, i tam w karbach trzymać lubił uliczników, których tajemniczy jego palec stalowy wielką trwogą nabawiał. Znając systematyczność Cuttla Walter przyśpieszał kroku,aby go w domu jeszcze zastać, ale obawy jego w tym względzie ustały skoro wchodząc na Briggs-Plase ujrzał zawieszony u okna i wietrzący się na słońcu granatowy frak kapitana, w towarzystwie jego kamizelki.

W pierwszéj chwili niedowierzał oczom swoim, widząc odzienie marynarza oddzielnie od jego osoby; przekonawszy się jednak że go wzrok nie mylił, zastukał śmiało do drzwi domu.

Kapitan ukazał się zaraz w oknie z krawatem jeszcze niezwiązanym, ale już w kapeluszu na głowie.

— To ty, Walterze! zawołał zdziwiony. A co? czy nie jaka nowa bieda? Może się znowu Gillsowi noga powinęła?

Walter zaprzeczył że tak nie było; wtedy kapitan uspokojony zeszdł drzwi mu otworzyć.

— Coś ty mi jednak za rano dziś wstałeś, mój chłopcze, musi być w tem nie dobra jakaś nowina.

— Oj, jest kapitanie — jest i to bardzo nie dobra — tylko że nie ta którą przeczuwasz. Oto, przyszedłem do ciebie po poradę.

— Możesz na nią liczyć, a także na wszystko co posiada stary Cuttle. Ale siadaj no naprzód i powiedz mi o co chodzi.

Walter zawiadomił go o bliskim swym wyjeździe i o ciężkim kłopocie w jakim się znajdował, nie wiedząc jak o tem powiedzieć wujowi. Wreszcie błagał Cuttla aby wziął to na siebie, i starał się złagodzić cierpienie starca w chwili rozstania.

Gdy kapitan wieść tę usłyszał, zdumienie jego i przerażenie było tak wielkie, że przez czas jakiś pozostał jakby skamieniały, tak iż wolno było powątpiewać, czy pod jego granatowym frakiem mieściła się jeszcze żyjąca istota.

— Widzisz kapitanie, mówił daléj Walter, jam zdrów i młody, jak mi to słusznie powiedział Dombey; nie o mnie zatem tu chodzi. Wiem ja dobrze że potrzebuję wyrobić sobie pracę stanowisko na świecie, ale kiedy o wuju pomyślę, to aż mi się w głowie mąci, bo wszakże — jakkolwiek zapewne nie zasługuję na to — nie mniéj jestem wszystką chlubą i wszystką radością jego życia. Czyż nie prawda że tak jest, kapitanie?

Widać było na twarzy Cuttla wysilenie jakie czynił, aby przezwyciężyć drętwiące go zdumienie: życie znowu na niéj zabłysło, wszelako nie zdołał jeszcze przemówić, tylko ceratowy kapelusz poruszył się od lekkiego skinienia głową.

— Co do mnie, ciągnął daléj Walter, czuję w sobie dość siły, aby wierzyć, że mi jéj nie zbraknie w téj ciężkiéj próbie, ale opuszczając Anglją, możeż się spodziewać, że jeszcze ujrzę kiedy wuja? Znasz jego wiek, kapitanie, do tego wiesz czem są dla niego codzienne nawyknienia.

— To jego życie, odpowiedział kapitan, który odzyskał już był całą przytomność.

— Otóż, mówił znowu Walter, jeśli obawa utraty sklepu i sprzętów, które go od lat tylu otaczały, w tak okropną go rozpacz wprawiła, wyjazd mój może śmierć jego przyspieszyć.

— O tak — nie ma nic pewniejszego — zawołał kapitan.

— W takim więc stanie rzeczy, rzekł Walter, nie pozostaje nam innego sposobu, jak wmówić mu że nieobecność moja krótko trwać będzie, to jedyny środek jakim potrafimy go uspokoić. Że zaś co do mnie, wiem dobrze czego się trzymać w tym względzie, lękam się aby mię siły nie zdradziły i aby wuj prawdy ze słów moich nie odgadł. Dla tego przyszedłem cię uprosić kapitanie, abyś mi nie odmówił swego pośrednictwa w tym ciężkim razie, ty jeden potrafisz przemknąć się zręcznie przez to trudne przejście.

— Jeśli w niem nie utknę o jaką rafę, mruknął Cuttle półgłosem. No dobrze, dobrze, dodał po chwili, a czego chcesz więcéj, mój chłopcze?

— Jest jeszcze w mojem obecnem położeniu, mówił daléj Walter, jedna okoliczność, która je pogorsza, a zarazem nie małą dla mnie przykrość stanowi. Chcę tu mówić o osobistem usposobieniu Dombeya względem mnie. Nie podobna mi się łudzić, nie jestem bynajmniéj w łaskach u niego. Z jakiego to powodu? tego nie umiem odgadnąć; — dosyć że tak jest i zapewne zawsze tak będzie. Czyniłem co mogłem aby to zmienić; pracowałem gorliwie, starałem się o ile tylko mogłem być użytecznym w kantorze, wszystko to na nic się nie przydało. Wysyłając mię do Indji, pan Dombey nie ma bynajmniéj na celu nastręczenia mi sposobności dorobienia się wyższego stanowiska, wiem o tem wybornie. Przewiduję że prawdopodobnie zostanę na téj posadzie przez całe życie, zapomniany i bez nadziei awansu. Wszystko to jest dla mnie wyraźnem, ale wuj o tem wiedzieć nie powinien; przeciwnie należy mu przedstawić moje nowe położenie jako dające najświetniejsze na przyszłość widoki. Z tobą jednym kapitanie mówię o tem otwarcie, a czynię to dla tego, że chcę pozostawić za sobą przyjaciela, który znając rzecz tę całą dokładnie, mógłby przyjść mi w pomoc w danym razie.

— I masz zupełną słuszność, mój chłopcze, rzekł kapitan. Przyjaciel, to to samo co kotwica u okrętu. W przysłowiach Salomona znajduje się gdzieś następujący ustęp. Oby nam w potrzebie nie zabrakło nigdy rady przyjaciela, ani też butelki, którą byśmy z nim mogli się podzielić. Mądre są to słowa, jak na nie natrafisz, to ci radzę zaznaczyć je sobie.

To mówiąc, kapitan podał rękę, Walterowi z wy-

razem tak szczerej i serdecznéj obietnicy, że prawdzie uścišnieniu temu, żadne słowa nie były w stanie dorównać.

— Kapitanie, rzekł Walter zatrzymując w dłoniach żylastą jego rękę, wiesz dobrze, że po wuju nikogo nie kocham więcéj jak ciebie, wierzaj tedy że szczerym jestem kiedy ci mówię, że gdybym był panem mojego losu, z chęcią wybrałbym się choćby w najdalsze krainy, a nawet z własnego może bym to uczynił popędu. Ale wiesz dobrze, że inne były widoki wuja dla mnie. Dzisiaj widzę dobrze, że się pomylił, a raczejześmy wszyscy w błędzie byli, dzieląc świetne jego nadzieje co do mojéj przyszłości. Wszakże odkąd weszłem do bióra Dombeya, ani o krok jeden nie postąpiłem naprzód, a kto wie czy się nawet w tył nie cofnąłem od tego czasu, bo wtedy mogłem jeszcze liczyć na przychylność zwierzchnika, którą odtąd straciłem.

— Cóż robić! rzekł posępnie Cuttle, — skoro nie ma innéj rady, wybieraj się w podróż, ale pamiętaj wrócić nam kiedyś Wittingtonem.

— Ho! ho! kapitanie, zawołał śmiejąc się Walter, nie jeden raz by mi potrzeba świat objechać, zanim bym los podobny mógł napotkać. Bądź co bądź jednak—dodał z wyrazem męzkiéj energii — przyjmuję dolę moją bez szemrania. Rozważyłem już wszystko i wszystko przewidziałem. Nie przyszedłem żalić się przed tobą kapitanie, chciałem tylko oddać w najlepsze ręce opiekę nad wujem, a także przekonać ciebie, że nie mam w tym razie możności wyboru. Życzliwość Dombeya nie mało już uczyniła dla mojego wuja; nie wolno nam o tem zapominać. Z resztą, sądzę że okażę się tem lepiéj dla niego usposobionym, skoro nie będzie miał nieprzyjemności widywania mię codzień. A zatem, hurra na cześć Indyi, kochany kapitanie i daléj z wiatrem ku Barbadom!

— Daléj z wiatrem ku Barbadom! powtórzył donośnym głosem Cuttle, da nam przecie Bóg doczekać i takiego powiewu co cię ku nam zwróci.

— Teraz zaś, dodał Walter podając mu z widocznym pośpiechem frak i kamizelkę, jak gdyby chciał zaraz korzystać z jego dobrego usposobienia, trzeba nam iść niezwłocznie do wuja, czas już wielki, aby o wszystkiem się dowiedział. Odprowadzę kapitana aż przed sklep, tam się rozejdziemy i nie wrócę do domu aż po południu.

Kapitan zdawał się bardzo umiarkowanie zadowolony z otrzymanego zlecenia, a także niezbyt ufny w środki jakiemi rozporządzał, ku należytemu wywiązaniu się z położonego w nim zaufania. Potrzeba mu było, co prawda, nie małéj siły woli, aby wyrzec się odrazu owéj przyszłości z takim zamiłowaniem wymarzonéj dla Waltera. Zmuszony zmienić w jednéj chwili pojęcia do których nawykł był od lat wielu, czułw głowie zamęt przeszkadzający mu do zebrania i uszykowania myśli, tak potrzebnego w obecnem położeniu. Zamiast tedy wybierać się tak pośpiesznie jak tego pragnął Walter, odłożył na bok podane mu ubranie.

— W tak ważnéj a zarazem tak drażliwéj sprawie, rzekł bardzo stanowczo, muszę nie mało nagryść sobie paznogci, zanim coś mądrego wymyślę. To stare u mnie nawyknienie, dodał; ile razy zobaczysz starego Cuttla przygryzającego sobie pazury, możesz być pewien, że osiadł na mieliznie.

To rzekłszy, wziął w zęby stalowy swój palec i pogrążywszy się w tak głębokie rozmyślanie jak gdyby chodziło o zbadanie najskrytszych tajników filozofii i nauki, począł wszechstronnie rozpatrywać zdarzenie, którem został zaskoczony w sposób tak niespodziewany.

— Znam ja kogoś coby nam tu poradził jak nikt inny na świecie, rzekł po pewnym czasie z wyrazem zafrasowanym. Szkoda tylko że właśnie jest teraz na morzu. To dawny mój przyjaciel, głowa choćby na ministra. Wyobraź sobie, dwa razy już tonął, a zdrów dotąd jak ryba. Kiedy był chłopcem okrętowym, bito go codzień żelaznym prętem po głowie, a powiadam ci że on cały parlament w koźli róg zapędzi, jak mu się podoba.

Pomimo szacunku jaki miał Walter dla kapitana, czuł się w duszy mocno uradowany nieobecnością owego mądrego doradcy, oraz pewnością że niepodobna mu już będzie na czas zdążyć w tym razie.

— Możesz się zapytać tego człowieka o co tylko zechcesz, mówił daléj Cuttle, a on ci na wszystko znajdzie odpowiedź. I co za odpowiedź! Żebyś ze świecą takiego szukał po całym świecie, to go nie znajdziesz, — ja ci powiadam.

— Jakże się on nazywa? spytał Walter chcąc się okazać zaciekawionym tak znakomitą osobistością.

Nazywa się Bunsby, odpowiedział Cuttle, ale kto ma taką głowę, to już mniejsza tam o to jak się nazywa.

To rzekłszy, zamilkł jakby uważał ów przedmiot za wyczerpany; Walter nie odzywał się też więcéj, widząc kapitana coraz posępniéj zamyślonego.

Zamyślenie owo było w istocie tak głębokie, że po pewnym czasie kapitan zamiast utknąć o rafę jak się tego lękał, uczuł się wśród toni całkiem mu nieznanych i w niemożności namacania dna własnéj przenikliwości. Im się bardziéj w całéj téj sprawie rozglądał, tem wyraźniéj dostrzegał pomiędzy Walterem i Dombeyem jakieś nieporozumienie, które przedewszystkiem wyjaśnić należało. Wdanie się zręcznego przyjaciela było według niego jedynym ku temu środkiem możliwym, i środka tego postanowił użyć niezwłocznie, biorąc na siebie owe pośrednictwo. Zdaniem jego miał do tego wszelkie prawa, stosunek swój, acz krótki, z Dombeyem w Brighton, uważał za bardzo przyjazny, przytem był przekonany, że porozumienie się dwóch ludzi posiadających w tak wysokim stopniu znajomość świata, musiałoby koniecznie rozwiązać jak najpomyślniéj wszystkie powikłania jakie traf złośliwy w tym razie nagromadził. Kapitan zamierzył tedy ostatecznie, nic o tem nie mówiąc Walterowi, udać się zaraz do Dombeya, zażądać widzenia się z nim i wyłuszczyć mu po swojemu rzecz całą. Następstwem tego zręcznego i śmiałego kroku, miała być koniecznie poufna narada po któréj Cuttle spodziewał się, że wróci w tryumfie do domu z wiadomością, iż wszystko zostało w najlepszy sposób załatwionem.

W miarę jak myśli kapitana przybierały kształty wyraźniejsze, rysy jego coraz się bardziéj rozjaśniały, a gdy wreszcie zamiar jego stanowczo się wykreślił, wyraz uspokojenia zastąpił troskę na jego twarzy, tak jak bywa gdy w południe słoneczna pogoda rozprasza chmurne mgły. Powieki jego przymrużone wysiłkiem pracy umysłu, swobodnie się podniosły, wesoły uśmiech zabłysnąwszy naprzód w oczach i na ustach, rozpłynął się stopniowo po całéj twarzy i dosięgając drobnemi zmarszczki aż do czoła, zdał się unosić nieco ceratowy kapelusz, jak gdyby owa nieodłączana cząstka kapitana, przed chwilą wraz z nim osiadła na mieliznie, znowu teraz szczęśliwie na pełnym morzu żeglowała. Cuttle, całkiem już rozpogodzony, zaprzestał gryść paznogcie i wskazując na granatowy frak i na kamizelkę, rzekł do Waltera:

— Wszystko już dobrze mój chłopcze. Teraz, żwawo tylko; pomóż mi się ubrać.

Walter ani się domyślał dla czego kapitan tak starannie tą razą zawiązywał chustkę i skręcał bardzo sztucznie jéj końce, przewlokłszy je przez złotą obrączkę z emaljowem wyobrażeniem grobowca, będącą, nawiasem mówiąc, pamiątką po zmarłym przyjacielu. Nie mógł również odgadnąć, czemu Cuttle podnosił dzisiaj do ostatecznych możliwych granic wysokość swego kołnierzyka, i czemu brał na nogi kamasze nie zupełnie do pary wprawdzie, ale w każdym razie służące tylko do wyjątkowych uroczystości.

Gdy wreszcie ubranie kapitana nie pozostawiało już nic do życzenia, po sprawdzeniu starannie przez niego dokonanem w lusterku wiszącem na ścianie, wziął sękaty kij swój w rękę i puścił się w drogę. Idąc z nim, Walter zauważył, że ruchy miał bardziéj światowe niż zwykle, ale sądząc, że było to w związku ze świątecznemi jego kamaszami, nie zwracał uwagi na tę okoliczność. Uszedłszy nieco drogi, napotkali kobietę sprzedającą kwiaty, Cuttle zatrzymał ją i kupił największy z jéj bukietów.

Zaopatrzywszy się w ów przedmiot zbytkowy, który w myśli przeznaczał Dombeyowi, szedł daléj w towarzystwie Waltera aż do drzwi sklepu Salomona. Gdy się tam znaleźli młodzieniec rzekł:

— Wszakże zaraz pójdziesz do mojego wuja, kapitanie?

— Ma się rozumieć, odpowiedział Cuttle, myśląc przedewszystkiem o jak najprędszem pozbyciu się Waltera i przypominając sobie zarazem, że godzina była zawczesna, aby iść do Dombeya.

— A czy tylko nie zapomnisz kapitanie o niczem? dodał jeszcze Walter.

— Ależ bądź spokojny — odparł Cuttle — od czegóż głowa?

— No, w takim razie wybieram się na przechadzkę, żebym nie przeszkadzał rozmowie, rzekł odchodząc Walter.

— Bywaj zdrów, chłopcze, zawołał za nim kapitan, ruszaj sobie gdzie ci się spodoba i nie śpiesz się z powrotem.

Młodzieniec pożegnał go raz jeszcze ręką z daleka, potem znikł mu z oczu na zakręcie ulicy.

Przechadzka jego nie miała na ten raz wyraźnego celu; postanowił wszelako wyjść za miasto, aby módz w cieniu i wśród ciszy pomyśleć spokojnie o tem nowem życiu, które się przed nim otwierało. Okolice Hampstead wydały mu się do tego miejscem najstosowniejszem, za najlepszą zaś z dróg wiodących do owego przedmieścia uznał tę, która przechodziła przed domem Dombeya.

Gdy doszedłszy do niego, rzucił okiem na ciemną facjatę téj ponuréj siedziby, znalazł ją poważną i mrokiem owianą jak zawsze. Wszystkie okna były pozasłaniane, z wyjątkiem kilku na drugiem piętrze stojących otworem. Firanki ich, poruszane tchnieniem wiatru, były jedynym znakiem życia dającym się dostrzedz wewnątrz domu. Przechodząc przed nim, Walter stąpał mimowoli po cichu i dopiero gdy go minął, odetchnął swobodniéj.

Odszedłszy nieco daléj, odważył się spojrzeć poza siebie wiedziony zaciekawieniem, jakie owa siedziba zawsze w nim obudzała. Podczas gdy oczy jego badały poroztwierane okna drugiego piętra, zatrzymał się przed domem jakiś powóz i wysiadł z niego otyły jegomość czarno ubrany, z grubym złotym łańcuszkiem u kamizelki. Jegomość ów wszedł do domu, a gdy się za nim drzwi zamknęły, młodzieniec idąc daléj i przypominając sobie jego powierzchowność, powziął przekonanie, że to nie był kto inny jak lekarz, i zapytał siebie kogo on też mógł odwiedzać w domu Dombeya? Ale myśl ta-

przyszła mu kiedy już był daleko i ustąpiła miejsca innym marzeniom i obrazom zapełniającym umysł Waltera.

Mimo woli jego wszelako, w owym tłumnym zastępie, jedna postać coraz wyraźniéj się wykreślała i największe zajmowała miejsce: myśląc o swem obecnem położeniu w kantorze, Walter powiadał sobie, że z czasem mogło się ono polepszyć, w razie gdyby Florcia o nim nie zopomniała i chciała użyć na jego korzyść wpływu swojego nad bratem. Wszakże wolno mu było tego się spodziewać od téj uroczéj dzieweczki, która za każdym z nim spotkaniem tyle mu wdzięczności okazywała. Rozkosz z jaką się oddawał téj nadziei, nie dozwalała młodzieńcowi zapuszczać się w obliczenie korzyści, jakie ziszczenie jéj mogło za sobą dla niego pociągnąć; myśl sama że Florcia potrafi o nim zdaleka pamiętać, tworzyła mu raj pośród którego marzenia jego rozkosznie błądziły. Od czasu do czasu wszelako, posępniejsze obrazy zaciemniały chwilowo słoneczne widnokręgi. Walter dostrzegał z tych odległych krain gdzie życie jego miało upływać, Florcię piękną, bogatą, świetną wszelkiemi darami przyrody, ale już poślubioną innemu. Mogłoż stać się inaczéj? Prędzéj lub później musiało to nastąpić. Wprawdzie może i wtedy przypomni go sobie czasem córka Dombeya, ale nie inaczéj jak chwilową zabawkę swoich lat dziecinnych, któréj wspomnienie wywoła tylko uśmiech na usta dumnéj królowéj salonów Londynu.

A jednak, obraz owéj ślicznéj dzieciny którą Walter napotkał niegdyś błąkającą się po ulicach, pozostał tak promienny w jego wyobraźni, pamięć żywéj wdzięczności jaką mu wtedy okazała Florcia jaśniała tak błogo w jego wspomnieniach, że po chwili wyrzucał sobie jak zbrodnię samo przypuszczenie, aby podobna istota stać się kiedy mogła próżną i wyniosłą. Trudno mu nawet przychodziło wyobrazić ją sobie panną już dorosłą, i w młodzieńczym swym zachwycie chciał w niéj zawsze widzieć tę samą uroczą i pełną prostoty dziewczynkę, która z tak żywą mu rozpowiadała trwogą, jak *poczciwa* pani Brown ubierała ją w swoje łachmany.

Po długich rozmyślaniach nieustannie krążących około jednego przedmiotu, Walter przyszedł do przekonania, że im bardziéj się będzie nad swą przyszłością zastanawiał, tem więcéj się jego myśli zaplączą; postanowił tedy w postępowaniu swem trzymać się drogi jaką rozsądek wskazywał, oddzielając o ile możności postać Florci od rzeczywistości życia swojego, i tylko na to zachować ową postać w głębi serca, aby ją tam mieć wiecznem uosobieniem, idealnego piękna i aniołem stróżem broniącym przystępu wszystkiemu, coby jéj niegodnem było.

Długo się w dniu onym błąkał młody Gaj po polach, słuchając śpiewu ptasząt, odgłosu dzwonów niedzielnych i złagodzonego przestrzenią szmeru miejskich gwarów. Niekiedy wypoczywając na murawie, pochylał się ku kwiatom zdobiącym łąki i cieszył się ich wonią, czasem znowu patrzał w dal mroczną zasłaniającą mu drogę, którą iść miał daléj. Najczęściéj szedł niedbale wiodąc roztarguionym okiem po otaczającym go bogatym i urozmaiconym krajobrazie. Razem z wrokiem i myśli jego błądziły porozpierzchane, trudno mu je było zatrzymać dłużéj w jednem miejscu, nie umiał nawet zastanowić się uważniéj nad tak bliskim już wyjazdem, z każdą chwilą nowe obrazy mu się nasuwały, łańcuch jego marzeń się nie przerywał, tylko coraz inne przyrastały mu ogniwa.

Już powrócił był do miasta i szedł ku mieszkaniu wuja, ciągle pogrążony w swéj zadumie, kiedy w tem usłyszał że go po nazwisku wołano z przejeżdżającéj dorożki. Obejrzawszy się, spostrzegł iż woźnica dawał mu biczem jakieś znaki, podczas gdy wychylająca się z powozu młoda kobieta, wzywała go ręką i głosem ku sobie. Pobiegłszy co tchu ku niéj poznał Zuzię. Zdawała się zmięszana i strapiona do najwyższego stopnia.

— Staggs-Gardens, panie Walterze, wołała do niego, gdzie Staggs-Gardens, na miłość Boga?

— Co? co takiego? spytał młodzieniec, nie rozumiejąc o co jéj chodziło.

— Co? Oto że od godziny ta pani mię wodzi po wszystkich ulicach miasta, odpowiedział woźnica będący wyraźnie w stanie rozpaczliwego położenia, sama nie wie dokąd chce się dostać, każe mi wjeżdżać w jakieś zaułki, że trzeba rakiem ztamtąd wyłazić, bo ani sposobu zawrócić. Już się też nie mało w życiu po mieście najeździłem, ale jak mi Bóg miły, takiego balu nigdy jeszcze nie miałem.

—Więc ta panna chce jechać do Staggs-Gardens? spytał Walter.

— No tak, chce — odpowiedział woźnica, ale ktoby tam wiedział gdzie tego kąta szukać.

— Panie Walterze zmiłuj się ratuj, powiedz nam którędy droga, zawołała z pośpiechem Zuzia. Raz tylko w życiu tam byłam, wtedy kiedy to nam Florcia zginęła, i teraz nie umiem trafić, — chyba się to miejsce w ziemię gdzieś zapadło. Ach panie Walterze ratuj, gdybyś wiedział co za nieszczęście. Ten nasz śliczny pan Paweł, to ukochanie panny Flory...

— Boże wielki! zawołał Walter, więc bardzo chory?

— Ten nasz drogi aniołek, mówiła daléj Zuzia załamując ręce, oto zachciało mu się koniecznie zobaczyć dawną mamkę, i pojechałam po nią, a tu drogi niepodobna się doszukać.

Walter wzruszony do głębi duszy usłyszaną wiadomością, puścił się tak szybko przodem rozpytując się o Staggs-Gardens na prawo i na lewo, że woźnica zaledwie mógł za nim nadążyć.

Ale Staggs-Gardens znikło już było bez śladu. Tam gdzie dawniéj stała przygarbiona szynkownia, wznosiły się teraz ciężkie granitowe arkady, na szczycie których pociągi zdawały się przelatywać w powietrzu. W miejscu gdzie kupy śmieci walały się na bezużytecznych przestrzeniach, widać było obecnie długie szeregi sklepów, obficie zaopatrzone w najrozmaitsze towary. Stare uliczki roiły się tłumem pieszych i powozów, nowe zastępując dawne błotniste wyboje, tworzyły bogate dzielnice, w których wszystko co zbytek mógł zamarzyć było nagromadzone. Mosty niegdyś do niczego nie wiodące, prowadziły teraz do pięknych willi, do ogrodów i do wspaniałych kościołów. Szkielety budujących się domów i bazarów, sterczały tu i owdzie pokrywając się ciałem z dnia na dzień, i wybiegając coraz daléj w pola z szybkością olbrzymiego pociągu.

Mieszkańcy okoliczni, niegdyś tak przerażeni gotującemi się zmianami, całkiem już się byli pogodzili z cudotwórczą potęgą pary, a nawet chętnie się przechwalali obecnym dobrobytem. Koléj żelazna któréj dawniéj tak złorzeczono, odbierała teraz wszędy cześć należną, po wystawach i na sklepowych szyldach, same tylko widać było wagony i parochody. Nawet starszy zgromadzenia kominiarzy, niegdyś najzawziętszy przeciwnik tego, jak się wyrażał, szatańskiego wymysłu, był dzisiaj najzupełniéj przejednany, w dowód czego, na trzypiętrowym domu który zajmował, zawiesił świetnie wyzłacany napis głoszący, iż był członkiem przedsiębierstwa wycierania kominów za pomocą pary.

Pośród tego miasta jakby z ziemi wyrosłego, roił się nieustannie tłum kipiących gwarem, niby krew krążąca w jego żyłach. Wszystko tam było w ruchu od świtu aż w noc późną, tak ludzie jak i towary: rzekłbyś że nawet domy się pakują i wybierają w podróż. Dniem i nocą zwycięzkie parowozy latały dyszące tam i napowrót po wskazanéj im drodze i zwalniając bieg swój gdy dobiegały do mety, wchodziły podobne do przyłaskawionych potworów w klatki im przeznaczone, gdzie drżały czas jakiś zasapane, potężnym dreszczem potrząsającym otaczające je mury.

Ale po Staggs-Gardens nie pozostawało wśród tego wszystkiego ani śladu. Musiał się Walter nie mało natrudzić,zanim wynalazł człowieka który niegdyś zamieszkiwał w owéj krainie dziś zatraconéj. Rzadkim tym okazem był właśnie ów kominiarz wyżéj wspomniany. Stał się teraz dosyć otyłym i wyglądał na wcale porządnego obywatela. Właśnie stukał z wielką powagą do drzwi własnego domu, kiedy go Walter zapytał, czy nie znał niegdyś niejakiego Toodla? Odpowiedział że nazwisko to nie jest mu obcem i dodał:

— Czy nie miał on czasem zajęcia przy kolei?

— Tak, tak mój panie, właśnie o tego pytamy, odezwała się z dorożki Zuzia.

Walter wywiedział się jak najśpieszniéj o obecne pomieszkanie Toodla. Pokazało się, że zajmował dom będący własnością towarzystwa kolei i oznaczony numerem jedenastym. Niepodobna było nie trafić, tak przynajmniéj zapewniał kominiarz; — w razie wszelako jakiéj wątpliwości, radził zapytać kogokolwiek o palacza Toodla a każdy potrafi wskazać jego mieszkanie. Uradowana tak zupełnem dowodzeniem Zuzia, wyskoczyła co prędzéj z dorożki i puściła się z Walterem we wskazanym kierunku, zaleciwszy woźnicy aby na nich poczekał.

— Czy już dawno chory wasz chłopczyk? zapytał jéj w drodze młodzieniec.

— Któż to wie odkąd? rzekła, to pewna że oddawna już nie domaga.

Potem dodała z wyrazem najwyższego oburzenia:

— Och! to przeklęte gniazdo Blimberów!

— Cóż to za j dni, ci Blimberowie? spytał Walter.

— O mój drogi panie, zawołała Zuzia, jużbym też przecie nie chciała gubić własnéj duszy złorzecząc komukolwiek, tem bardziéj teraz kiedy mię Bóg tak ciężko zasmuca, ale doprawdy choć ich tam wychwala nasz biedny Pawełek, radabym żeby cała ta rodzina poczynając od owéj niegodziwéj panny Kornelii, tłukła kamienie przy drodze aż do śmierci. Oni nam zamęczyli to dziecko swojemi głupiemi książkami.

Wyrzekłszy te słowa z nadzwyczajnem ożywieniem, Zuzia wytchnęła nieco, a potem ruszyła prędszym jeszcze krokiem, tak jak gdyby owo wynurzenie przepełniających ją uczuć, sił jéj dodało. Zdyszany Walter zaledwie mógł jéj nadążyć, nie było zatem co myśleć o dalszéj rozmowie; z resztą po nie długim czasie, już byli u kresu podróży. Numer jedenasty wyraźnie stał wypisany na niskich drzwiach któremi wbiegli do małéj izdebki napełnionéj dzieciakami.

(d. c. n).

OPOWIADANIE ŻOŁNIERZA

WYDANE PRZEZ

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg).

— Ile chcesz za barana? spytałem.

— Kiedyż bo to nie moje... odparł drapiąc się po głowie z wyrazem zakłopotania.

— No, mniejsza o to zwrócisz pieniądze właścicielowi. Gadaj — ile chcesz?

— To chyba mu się powie że marudery skradli barana, mruknął patrząc na nas z podełba, wsparty na kiju.. Albo się to nie zdarza?

I jak jeszcze!

— Ale ileż nareszcie?

— To niech już będzie cztery franki.

Dałem mu pięć i zabrałem co prędzéj barana na plecy. Widziano jak z nim biegłem i błyskiem wieść się rozleciała że w pobliżu jest gdzieś stado baranów. Zuawi wytropili je z łatwością i niebawem owczarz miał tylu amatorów na swój towar, że mógł cenę jego znacznie podnieść. W godzinę potem, płacono mu po czterdzieści franków za barana. Cała trzoda znikła jak gdyby jéj nigdy nie było.

Miałem wprawdzie mięso i to nie złe, nie brakło też chrustu na ogień, ale gdzie tu dostać soli i pieprzu, a choćby tylko chleba kawałek? Napróżno się o to starałem, towarzysze moi nie byli szczęśliwszemi odemnie. Musieliśmy tedy poprzestać na baraninie pieczonéj na węglach, i to przez całe trzy dni. Wreszcie jedzenie to stało mi się tak wstrętnem, że zaledwie głód dotkliwy mógł mię do niego zmusić. Jakąż sprawiała wtedy rozkosz odrobina suchara, lub papieros ofiarowany przez szczęśliwego kolegę, posiadającego owe skarby.

Co do mnie, oprócz pieniędzy, nie miałem już żadnego innego zapasu. Brak tytoniu szczególniéj dawał mi się we znaki. Pewnego poranku, wałęsając się bez celu na skraju naszego koczowiska, spostrzegłem gromadę żołnierzy rozprawiających z wielkiem ożywieniem. Od czasu do czasu, głośne wykrzyki dawały się słyszeć w téj grupie. Zbliżywszy się, zobaczyłem zuawa otoczonego chciwym tłumem, licytującym zawzięcie sprzedawany przez niego papieros, jeśli dać można tę nazwę kawałkowi papieru, mieszczącemu w sobie okruszyny tytuniu i chleba powytrząsane z kieszeni i powygrzebywane paznogciami z ich zakątków. Bądź co bądź, dobijano się o ów przysmak, i nie było już tam mowy prawie o wyłącznéj własności, ale o dostąpieniu rozkoszy zaciągnienia się pewną ilość razy. Każdy dawał co mógł: dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści centymów. Jakiś kapral ofiarował franka. Postąpiłem drugie tyle i wśród ogólnego wrażenia obecnych, utrzymałem się przy prawie wypalenia trzeciéj części papierosa, która została starannie wymierzoną i kreską węglem naznaczoną.

Przez pierwsze trzy dni naszego pobytu na półwyspie Glaires, mieliśmy zmienną pogodę. Co przemokło w czasie słoty, suszyło się jak słońce zabłysło i było nam jeszcze jako tako. W końcu jednak, niebo tak się czarnemi chmurami zaciągnęło i tak się na dobre deszcz rozpadał że zanim dzień się skończył, woda z nas się lała jak z gąbki tylko co z wody dobytéj. Ku wieczorowi, przeznaczono nam namiot do noclegu. Było nas w nim z ośmiu, to jest tylu ile się tylko zmieścić mogło; że zaś ostatni nadeszłem, musiałem się położyć przy samym brzegu. Zaledwie się zdrzemnąłem, obudziły mię spore krople rozbryzgujące się o twarz moją, sprawiając mi przykre czucie chłodu. Zacząłem się poprawiać i ocierać, co znowu przerwało spoczynek mojego sąsiada.

— Cóż się tam tak kręcisz? rzekł niecierpliwie. Ot, deszcz pada, i kwita.

— Doprawdy? odpowiedziałem. Bóg zapłać za objaśnienie.

Zaradziwszy sobie jako tako za pomocą kaptura, zdrzemnąłem się znowu, ale niebawem doznałem we śnie wrażeń człowieka z nagła w zimną kąpiel zanurzonego. Zdawało mi się że z niewidzialnego jakiegoś krana, spływały strugi lodowe na wszystkie części mojego ciała. Deszcz coraz silniejszy zbudził mię wreszcie zupełnie. Rzeczywistość nie przerwała sennéj zmory; leżałem istotnie w kałuży. Gdym sprobował się poruszyć, usłyszałem chlupotanie wody w około siebie. Oprzytomniwszy, zerwałem się na równe nogi, ulewa napełniła była rowek otaczający nasze schronienie i do wnętrza coraz bardziéj się dostawała. Nie było co myśleć o dalszym spoczynku, wyszedłem z pod namiotu i resztę nocy przepędziłem przechadzając się w około niego, przekładając ulewę nad zimną kąpiel, któréj przedtem zakosztowałem. Jakże uroczym przedstawiał mi się w téj chwili obraz studenckiéj mojéj izdebki w Paryżu, gdzie niedawno temu nocna praca przy stoliku zastawionym herbatą, przed płonącym wesoło ogniem kominka, wydawała mi się nieraz tak uciążliwą.

Z nadejściem dnia, deszcz nie przestał padać równie obfity. Szara mgła osłaniała brzegi Mozy. Pomimo słoty wszelako, ruch niezwykły panował w naszym obozie, powodem tego było przez prusaków rozpoczęte rozdawanie żywności naszym oddziałom. Co prawda, niebyło w tem zbytku hojności, wypadało na jednego człowieka po ćwierci suchara na dzień, ale i o to dobijano się, co się zowie. Za napój mieliśmy tylko wodę rzeczną, téj nie brakło nam wprawdzie. Niedostatek ów w połączeniu z niezdrowem powietrzem, zwiększał z każdą chwilą liczbę chorych, kto zaś zapadł, zwłaszcza na gorączkę, koniecznie umrzeć musiał. Nie mieliśmy ani lekarzy, ani lekarstw, za posłanie służyła chorym przemokła ziemia, za cały posiłek mały kawałek spleśniałego suchara.

Z pomiędzy towarzyszy moich, upodobałem sobie szczególnie afrykańskiego strzelca, służącego podobnie jak ja w pułku za ochotnika.

Nazywał się Didier. Był to młody chłopak, żywy i wesoły, z twarzą świeżą i łagodną jak u dziewczęcia, ale z lwią odwagą w chwilach niebezpieczeństwa. Dobry humor jego potrafił przetrwać dotąd wszystkie nasze biedy. Za każdą nową przykrością, otrząsał się jak pies wypływający na brzeg i znowu był wesół i swobodny jak przedtem. Pocieszne jego opowiadania i facecje nie jedną nam smutną chwilę rozjaśniały. Pewnego dnia, oddał mi swój szszupły kawałek suchara.

— Cóż tobie zostanie? spytałem.

— Nie chce mi się jeść.

Widząc że się waham przyjąć dar jego, dodał śmiejąc się:

— Jeśli gdzie jeszcze upolujesz barana, oddasz mi dług swój pieczenią.

To rzekłszy, ścisnął mię za rękę i odszedł. Spostrzegłem że z oczu smutno mu jakoś patrzało, i przez cały wieczór pozbyć się nie mogłem przypomnienia ostatecznego jego spojrzenia. Nazajutrz, błąkając się przed wieczorem na jakiejś drożynie, spostrzegłem czterech żołnierzy dźwigających trupa na noszach.

Spojrzałem — był to Didier! Serce moje ścisnął ból niewymowny.

— Już to widać było od wczoraj, że z niego nic nie będzie, rzekł mijając mię jeden z żołnierzy.

Na każdym kroku prawie napotykałem owe ponure pochody. Czasem zmarły leżał na noszach sporządzonych na prędce, częściéj żołnierze wziąwszy go za ręce i za nogi nieśli grzebać gdzie na uboczu, w dole tak płytkim, że zaledwie cienka warstwa ziemi ciało pokrywała. Za zwłokami postępowało kilku towarzyszy, a i ci nazajutrz już nie myśleli o tym którego wczoraj zabrakło. Coraz nowa niedola pamięć przeszłéj zacierała.

VI.

Godziny wlokły się leniwo, wśród tych dni dżdżystych, żadnem zajęciem nie zapełnionych. Większa ich część schodziła na włóczeniu się tu i owdzie; brzegi Mozy szczególniéj nas ku sobie wabiły. Nie można tam było ujść stu kroków, nie napotkawszy płynących z wodą ciał ludzkich, lub potopionych koni. Nie rzadko też widać było uwięzłe trupy wśród trzcin porastających kępami, na płytszych miejscach rzeki; nieraz afrykański strzelec leżał tam tuż obok pruskiego ułana. Obadwa wojska pozostawiły w tych nie małą liczbę swych przedstawicieli, napotykało tam oko z kolei najrozmaitsze mundury. Rzecz dziwna — straszliwy ów widok ciągnął nie wiedzieć czemu oko ku sobie; — nieraz gdy się trochę wypogadzało, nie mogłem przez całe godziny od niego się oderwać. Wpatrując się w powolne odpływanie tych zwłok martwych, lub też w dziwaczne postawy trupów w oczeretach uwięzłych, myślałem sobie z jaką otuchą niejeden z tych niebosczyków śpiewał dwa miesiące temu na paryzkich bulwarach pieśń o *Niemieckim Renie*.

Pamiętam dotąd wrażenie jakie sprawiły na mnie ciała dwóch żołnierzy, francuza i prusaka, splecione z sobą wśród kamieni szluzy, w sąsiedztwie tartaka. Woda, bardziéj w tem miejscu rozkołysana, poruszała nieustannie ich głowy i ręce, nadając im straszliwe pozory życia. W kilka dni później, widziałem je tam jeszcze; po nad szluzą ptastwo gromadnie polatywało. Za nadejściem zmroku, niewyraźne owe kształty które woda z sobą unosiła, przybierały potworne postacie; wyobraźnia dodawała im okropności, ale co prawda, sama rzeczywistość nieraz w grozie jéj dorównywała.

Pewnego poranku, gdym czerpał wodę w miejscu gdzie dotąd nie byłem, towarzyszący mi kolega, trącił mię mówiąc:

— Patrz no, co to tam widać na kępie.

— Spojrzałem we wskazanem mi kierunku i ujrzałem ciało kyrasiera, którego głowę zakrywały w części gęste wodne trawy. Nogi, ubrane w wysokie buty i kadłub pokryty błyszczącym kirysem, po nad wodą sterczały. Ręka odziana w rękawicę pochwyciła było pęk trzciny i w tej postawie zastygła. Nieszczęśliwy ów widocznie w tem miejscu ducha był wyzionął. Twarz miał od kruków podziobaną. Odszedłem, wylawszy wodę w dzban zaczerpniętą.

Nie rzadko zdarzało mi się spotykać po kilku naszych żołnierzy zajętych wykrawaniem kawałków mięsa z koni które z rzeki powyciągali. Ohydny to był widok, głód człowieka w zwierzę przeistaczał. Co do mnie, jakkolwiek dawał się on i mnie dobrze we znaki, ani pojąć nie umiałem możliwości przełknięcia podobnéj strawy. Potrzeba było wszelako wynaleść jakąkolwiek radę, bo z dniem każdym sił mi ubywało. Na całéj przestrzeni półwyspu Glaires, nie był

by nikt na polu znalazł jednego kartofla, tyle tam rąk już każdy zagon przegrzebało. Ale szczęśliwy traf dał nam odkryć że u młynarza było jeszcze trochę otrąb. Gdy się o tem wieść rozeszła, zrobiło się w około młyna istne oblężenie. Płacono za funt otrąb przeszło dwa franki i trzeba było czekać z jakie parę godzin zanim się do nich można było docisnąć. Rozrobione z wodą, stanowiły potrawę, która wydawała nam się wyborną.

Życie w którym niedola z nędzą się splatała w sposób tak dotkliwy coraz trudniejszem było do zniesienia. Nic nie zapowiadało bliskiego końca tego nieszczęsnego etapu. Już teraz nie oficerowie ale podoficerowie pruscy rozdawali jeńcom żywność, która tym sposobem nie zawsze w całości ich dochodziła. Zrozpaczenie zwiększało bezład w naszych obozowiskach. Każdy rwał co się dało, kto zdołał zagarnąć część wydzieloną koledze, rad ją przy sobie zatrzymał, ztąd też zajścia i bójki co chwila.

Napróżno niektórzy nasi jenerałowie, a głównie jenerał Ducrot dodawali wszelkich starań, aby nam wyjednać niejaką ulgę w naszym losie, władze niemieckie bynajmniéj nie zważały na czynione w tym względzie przedstawienia. Pułki nasze marniały głodem i gniły w błocie. Miarę tych męczarni dopełniały najboleśniejsze i coraz ponawiane upokorzenia. Co chwila pojawiali się w Glaires wojskowi pruscy, którzy dla osobistego użytku zabierali konie naszych oficerów, kazawszy im bez ceremonii z nich pozsiadać. Krew się burzyła na podobny widok. Twarze nieszczęśliwych których upokarzano w ten sposób, wyrażały wściekłą boleść. Niektórzy bledli jak gdyby zemdleć mieli. Jeden, zsiadłszy z konia, sięgnął do kieszeni i spytał tego który go w ten sposób oporządzał, czy nie miał także ochoty na jego zegarek?

— *Ich verstehe nicht* (nie rozumiem), odpowiedział Prusak, umiejący wybornie po francuzku.

Podobne rzeczy widzieć trzeba własnemi oczami, aby mieć o nich pojęcie. Myśl o tem, dreszczem jeszcze przeszywa. Jeden z ówych Prusaków nieustannie kręcących się po wyspie napotkawszy pewnego razu francuzkiego oficera jadącego konno, kazał mu zsiąść. Jeniec, to już prawie nie człowiek, trzeba było usłuchać. Prusak dosiadł konia i wyprobowawszy bardzo dokładnie wszystkie jego ruchy, rzekł chłodno do właściciela.

— Nie zły jest. Możesz pan iść sobie. Zabieram go.

Lepszą była śmierć od takiego życia. Począłem przemyśliwać na dobre o ucieczce. Ale jak tu wykonać podobny zamiar? Jeden tylko most dawał wstęp do półwyspu. Most ów strzegły dwa działa zwrócone paszczami ku naszemu obozowisku. Przy nich czuwały silne straże, z bronią nabitą. Nie było zatem czego probować od téj strony, po drugiéj, na brzegach Mozy, zgiętéj tam w półkole, biwakowały o kilkaset kroków jeden od drugiego, plutony pruskich żołnierzy, złączone pomiędzy sobą wartami przechadzającemi się tam i napowrót bez przerwy i nie spuszczającemi ani na chwilę z oczu naszych stanowisk. Co noc, warty owe podwajano, a częste wystrzały których ponure znaczenie aż nadto było zrozumiałe, dawały nam wiedzieć że czuwano nad nami troskliwie.

Pewnéj nocy, nie mogąc już dłużéj wytrzymać podobnego położenia, a do tego przewidując że w Niemczech mogło mi być jeszcze gorzej, postanowiłem sprobować ucieczki i w tym celu wybrałem się ku brzegom Mozy. Nikogo tam widać nie było, tylko po drugiéj stronie rzeki, błyszczały światła ognisk i biwaków. Niebo było bardzo pochmurne; pomimo tego jednak, rozróżnić się dawały na szaréj powierzchni wody, jakieś niewyraźne kształty kołyszące się miękko raz znikając wśród toni raz znowu z nich się wynurzając. Przez chwilę wahałem się, patrząc na nie potem rozebrawszy się i zachowawszy tylko na sobie bieliznę, wszedłem do wody. Tuż mi dochodziła do pasa i pochyłość poziomu po którym stępowałem dawała poznać że lada chwila płynąć mi wypadnie, kiedy w tem coś czarnego przypłynęło zwolna przedemną i dotknąwszy z lekka mojéj piersi, ustąpiło i w wodzie się zagrążyło. Dreszcz przebiegł moje członki, na myśl płynięcia wśród tych ciemnych nurtów zaludnionych trupami. Nerwowy postrach, którego zwyciężyć nie byłem w stanie, cofnął mię mimowoli ku brzegowi gdzie siadłszy pozostałem czas jakiś, z wzrokiem utkwionym w te ponure męty.

Nazajutrz, powróciłem w ciągu dnia w tożsamo miejsce. O kilka kroków od śladów, które pozostawiły bose moje nogi, gdym do rzeki wchodził, widać było na mieliznie pośród trzciny z rzadka porastającéj, leżące ciało młodego turkosa, którego tam nie widziałem w dniu poprzednim, gdym przychodził opatrywać miejscowość. Fala raz zalewając, raz znowu na wpół odsłaniając te zwłoki, z lekka, jakby do snu je kołysała. Ręce, naprzód wyciągnięte, tkwiły w rzecznym mule. Opowiadano mi później, że ów młody żołnierz probował uciec poprzedniego wieczoru i że pruskie szyldwachy dały do niego ognia gdy rzekę przepływał. Prawdopodobnie, jego to ciało otarło się o mnie, w chwili gdym wpław się miał rzucić i tym sposobem nieszczęśliwy ów po zgonie, życie mi ocalił. Wyrzekłem się odtąd stanowczo szukania w Mozie środków ocalenia, nie mniéj jednak nie zaniechałem mojego zamiaru ucieczki i szukałem tylko sposobności wykonania go z jakąkolwiek nadzieją powodzenia.

Podczas gdy rzeka w tydzień jeszcze po skończeniu walki, nie przestawała unosić trupy w swych nurtach, półwyspa nasza zdawała się iść z nią w zawody co do liczby ofiar codziennie dostarczanych. Umierano setkami w naszem obozowisku, tak jak gdyby zaraza w nim się zagnieździła. Podobny stan rzeczy zaniepokoił samych Prusaków. Śmiertelność dziesiątkująca wojska zwyciężone, mogła niebawem i pośród zwycięzców obozu się pojawić. Obawy te przyśpieszyły prawdopodobnie spełnienie dalszych naszych losów.

— Czy wiesz że od jutra rana rozpoczną się pociągi spacerowe do Niemiec? rzekł do mnie pewnego dnia któryś z moich towarzyszy.

W istocie, następnego poranku rozpoczęto wyprawiać chorych. Potem miała przyjść kolej na oficerów; każdemu z nich służyło prawo zabrać z sobą ordynansa. Zaledwiem się o tem dowiedział, dobre jakieś przeczucie we mnie wstąpiło. Pobiegłem do kapitana cokolwiek mi znajomego, i na usilne moje prośby otrzymałem u niego pierwszeństwo na posadę o którą mnóstwo kandydatów się dobijało, i objąłem obowiązki czyszczenia sukien i butów mojego dowódzcy.

— Patrzcie no go! to się dopiero dochrapał awansu! mówili z radością moi koledzy, gdym wieść tę im zwiastował.

Wieczorem odebrałem zawiadomienie abym był gotów nazajutrz o świecie. Nie było obawy abym zaspał, wiedziałem że deszcz temu zaradzi. W rzeczy samej, nie zawiódł mego oczekiwania i zaledwie dnieć poczęło, udałem się naprzód do młyna po zapas otrąb, a potem ku mostowi którędy jedyne wyjście było z wyspy. Dwie armaty stały na zwykłem stanowisku, a przy nich Prusacy pod bronią. Zastałem już w tem miejscu gromadzących się jeńców, przeznaczonych do pierwszego transportu. Oficerowie, począwszy od stopnia kapitana mieli jechać na wozach, obłożonych z obu stron deskami, porucznikom i podporucznikom kazano iść pieszo z ordynansami...

Pruski pułkownik stojący z adjutantem u wejścia mostu dał hasło pochodu, skoro wszystko było gotowem i kolumna nasza skierowała się ku miastu. Tam, przystanęliśmy na chwilę. Korzystając z tego sprobowałem zaopatrzyć się w bochenek chleba u sąsiedniego piekarza, którego sklep już gęsty tłum obległ. Widać tam było, zmieszanych z jeńcami, pruskich żołnierzy. Jeden z nich szczególniéj wszystkich roztrącał, chcąc się najpierwszy dostać do sklepu. Zrobił się hałas, łajano go i wyrzekano głośno on zaś, tem bardziéj gburowaty i zuchwały się stawał. Gdy to zajście już w bójkę się przemieniało, wdał się w nie pruski oficer, i zapytał jeńców o co chodziło. Wszyscy jednozgodnie użalali się na grubjańskie obejście owego żołnierza.

Oficer rozkazał mu aby się oddalił, ale prusak prawdopodobnie trochę podchmielony, odpowiedział hardo że nie myśli wcale odejść i że ma prawo dostać chleba kiedy mu się spodoba. Oficer niewymówił ani słowa, tylko wyjąwszy z zapasa rewolwer w łeb wypalił żołnierzowi. Najmniejsze szemranie nie dało się usłyszeć pośród kolegów zabitego, zrozumiałem w téj chwili czem jest wojskowa karność w Prusach.

Wszedłszy do Sedanu bramą Paryzką przeciągaliśmy przez całą długość miasta, dla wyjścia stroną przeciwną. Na ulicach, które widziałem niedawno temu zalane wojskiem francuzkiem, snuła się teraz pruska landwera. Tu i owdzie, napotykaliśmy chorych i rannych, wlokących się z ciężkością. Mieszkańcy miasta spoglądali na nas ze smutkiem ponurym i ukradkiem podawali nam kawałki chleba lub mięsiwa, darząc nędzę naszą resztkami swego ubóstwa. Kolumna nasza samych oficerów z ordynansami złożona, liczyła około ośmiuset ludzi, różnéj broni; głównie zaś konnica i artylerja miały tam licznych przedstawicieli. Łatwo ich było poznać nie tylko po mundurach, ale po ciężkich krokach utrudnionych wysokiemi butami. Na piechurów przyszła teraz kolej brać górę nad niemi i żartami im się wypłacać, ale komu tam w głowie były żarty w onéj chwili? Nie pozostało ani śladu dawnéj francuzkiéj wesołości. Poczucie niewoli jakby kamieniem wszystkie piersi ugniatało. Oficerowie noszący medale wojny Krymskiéj i Włoskiéj ocierali łzy ukradkiem. Zdawało się że ów tabor przeciągający długą wstęgą, nosił żałobę po stu latach zwycięztw, zatartych jednodniową klęską. Dwa silne oddziały pruskiéj piechoty tworzyły naszą eskortę; spiczaste jéj kaski błyszczały u przodu i w tyle kolumny. Bokami, postępowali drogą pojedynczy żołnierze z nabitą bronią na ramieniu. Zapowiedziano nam że mieli rozkaz dawać ognia za najmniejszym alarmem. Wreszcie tam i napowrót, przebiegali ciągle po drodze obok naszéj kolumny, ułani z pistoletami w ręku, potrącając i przewracając co tylko z szeregu wystawało.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 1.

N. 27 dalszy ciąg.

Środkowe kółko obrabia się śc. o. i zapełnia kratką koronkową. Na małą okrągłą serwetkę lub patarafkę, łączy się 8 takich gwiazdek w kółko, podług ryciny N. 26, dodaje od brzega i w środku obrobienie łańcuszkiem i ząbkami z o. pow. śc. obrobionych. Środek zapełnia się tak jak w pojedynczych rozetach długiemi listkami i słupkami, które przy środkowem zaokrągleniu są téj co w rozetach długości, a przy zagłębieniach między gwiazdkami, stopniowo się przedłużają. W górze listki i sł. przedzielane są 2 o. pow., środkowe kółko duże z o. pow. obrabia się najpierw o. pow. i sł. raz nawijanemi; potem ząbkami śpiczastemi z 9 o. pow., obrobionych o. śc., a nakoniec wkoło łańcuszkiem, do którego przyrabia się kratka koronkowa.

N. 28. Postument do butelek. Robota szydełkowa lakierowana. Materjał: średniéj grubości bawełna; biały karuk, lakier brązowy, piękne winne grona, liście zielone kupione w fabryce kwiatów, deseczka lakierowana, pręcik z gałką z kości słoniowéj, 42 cent. długi, 4 cent. gruby; cienkie sztyfciki. Postument ten lakierowany na brązowo i przybrany gałązkami zielonych winogron, zawiera dwie przegródki do butelek, odrobione z mocnéj bawełny szydełkiem, 14 cent. wysokie, a 31 cent. obwodu liczące, które opierają się na podstawie drewnianéj 25 cent. długiéj, 9 i pół szerokiéj a 1 i pół grubéj, opatrzonéj w pośrodku słupkiem do podnoszenia postumentu. Słupek ten z kościaną gałką u góry, może być zrobiony z rączki od staréj parasolki, i wszrubowywa się w otwór, na ten cel przewiercony w deseczce, która jest w końcach zaokrąglona, a w środku gdzie obie połowy się łączą liczy tylko 4 cent: szerokości.

Pokrycie szydełkowe na każdą przegródkę zaczyna się od denka, stanowiącego podstawę. Denko to robi się od 3 lub 4 oczek spojonych w kółko, koło których obrabia się w ślimak 9 rzędów śc. ocz., przybierając tyle o., iżby denko miało 9 i pół cent. średnicy. Poczem strona lewa wzięta jest na prawą i kołko obrabia się ząbkami, stanowiącemi zakończenie. W pierwszym rzędzie, na każdy z 19 ząbków obrabia się 9 stopniowanych słupków, ząbki drugiego rzędu zajmowane między ząbkami i w środki ząbków poprzedzającego rzędu, liczą po 7 o. powietrznych. Na takim okręgu opierające się ażurowe boki roboty zaczynają się rzędem sł. i o. powietrznych, każde dwa słupki oddzielone są od następnych 3 o. powietrznemi. Daléj obrabia się 14 rzędów sł. mijających się z sobą, i robotę zakończa w górze takiemi ząbkami jak u dołu. Po wykończeniu, obie połowy przytwierdzają się sztyfcikami do deseczki, rozciągają na formie odpowiedniéj wielkości butelek i pociągają białym rozgotowanym karukiem. Ząbki brzeżne układają się i wyciągają póki robota jest jeszcze wilgotną. Nakoniec kiedy karuk stwardnieje, i robota zesztywnieje, zdejmuje ją się z formy i pociąga z wierzchu i od spodu trzy razy brązowym lakierem. Winogrona ozdabiające postument, okręca się i układa podług wzoru.

N. 29. Haft ściegiem luźnym. N. 29 podaje czwartą część podłużnego owalu, haftowanego kolorowemi jedwabiami, ściegiem luźnym. Owal ten może stanowić wierzch do pudełeczka, poduszeczki i t. p. jeśli go odrobimy na suknie, kaszmirze lub innym odpowiednim materjale.



N. 1. Suknia do ziemi na koncerta, wizyty lub obiady proszone.

N. 2. Strojne ubranie wieczorowe.

N. 30. Stanik z wązkiemi rękawami i szmizetkowym kołnierzem. Stanik ten ma z przodu baskinę wyciętą w kształcie małych śpiczastych ząbków, oszytych podwójną wypustką jedwabną. Wązkie rękawy ozdobione są dwiema bufami, przytwierdzonemi wązką, podwójną pliską. Pliski mogą być tego koloru co suknia, lub też koloru wstążki jedwabnéj rypsowéj, ułożonéj w kokardy na ramionach. Szmizetka ułożona jest w trzy fałdy z jedwabnéj krepy, u dołu oszyta frendzlą, spadającą z pod szerszéj koroneczki, także węższa koronka zakończa brzeg górny. Kokarda ze wstążki spina szmizetkę z przodu, taka sama kokarda, lecz z dłuższemi końcami, przyszyta jest na ząbie śpiczastym z tyłu szmizetki.

N. 31. Stanik pod szyję z karoczkiem i szerokiemi rękawami. Model odrobiony jest z materji wełnianéj w jasnym kolorze, oszycie zaś ząbów i naszycie ze sznurka jest w ciemniejszym cieniu tegoż koloru. Karoczek zakończony sutą kokardą składa się z dwóch części zaokrąglonych u dołu, leżących jedna na drugiéj i ułożonych w fałdy na przestrzeni 15 centymetrów. Niższa część karoczka liczy 31 cent. długości, 28 cent. szerokości, zwierzchnia jest tylko 16 cent. długa a 14 cent. szeroka. Garnirunek podszyty pod ząbami u rękawów jest zaplisowany z wolantu 8 cent. szerokiego.

N. 32. Kaftanik z kolorowym haftem. Kaftanik skrajany na zwykłą formę, liczy 42 cent. długości z przodu, 52 cent. z tyłu. Haft kolorowy, który bardzo łatwo odrobić można z jakiegokolwiek deseniu; przyozdabia model z czarnego kaszmiru, na kolorowéj flanelce. Deseń wyszywa się wkoło kaftanika i na szerokich rękawach, trzy rzędy łańcuszka, z których 2 są maisowe a środkowy biały, stanowią kontury deseniu, brzegiem dany rząd ząbków białych między dwoma rzędami łańcuszka. Rzucik układa się z punkcików pąsowych zielonych, niebieskich i fijołkowych, przeszywanych jednym ściegiem brązowym. Kwiatki dane naprzemian pąsowe, niebieskie i fijołkowe, kielichy brązowe, listki zielone, otoczone brązowym brzeżkiem.

N. 33. Stanik wyszyty sznureczkiem. Wyszycie kręconym sznureczkiem jedwabnym, tegoż co suknia koloru, stanowi ładne i powszechnie używane przybranie. Wyszycie podane na staniku oznacza się prostotą i do wykonania nie potrzebuje żadnego innego wzoru. Jeżeli oprócz karoczka dodaną będzie i tunika, potrzeba ją również naszyć sznureczkiem. Stanik podany przez nas skrojony jest zwykłą formą. Karoczek kraje się osobno i przyszywa do paska. Przód stanika ozdobiony kokardami, zapięty jest na haftki lub guziki.

Opis do N. 2.

N. 1. Suknia do ziemi na koncerta, wizyty lub objady proszone. Zarówno do sukien wełnianych, jak jedwabnych, dobierają obecnie na garnirunki i przybrania, materjał w tymże samym kolorze, lecz w prążki świecące atłasowe. Tak odrobioną suknię, przedstawia rycina N. 1. Plisowana falbanka u dołu liczy 10 cent., plisa skośna ma 7 cent. szerokości, skos zakończający tunikę zwykłéj łatwéj formy, jest 6 cent. szeroki. Tunikę u dołu zakończa frendzla wiązana w kwaściki, z boków podniesiona jest i podpięta kokardami. Pliski na staniku i karoczku są 3 i 4 cent. szerokie, szarfy 18 cen. szerokie.

N. 2. Strojne ubranie wieczorowe. Model przedstawia suknią z trenem i stanikiem pod szyję z gładkiéj materji zielonéj. Garnirunek spódnicy, szeroki na 30 cent. składa się z trzech rzędów buf tiulowych, przepinanych kokardami, u dołu wolant marszczony. Tunika tiulowa skrajana jak spódnica krótka, podpięta z tyłu w trzy bufy kokardami, u dołu zakończona riuszą ze wstążki i białą koronką. Krótki karoczek z materji, przybrany riuszą i koronką. Na staniku naszyta jest w kształcie berty bufa z tiulu, riusza z materji i koronka, zwężające się na ramionach. Rękawy jedwabne, dopełnione są szeroko puszczonym, długim wolantem tiulowym przybranym riuszą, wstążką i koronką. Kołnierzyk koronkowy i kwiaty we włosach dopełniają ubrania.

Rycina 40 w N. 3 Tyg: Mód. przedstawia odpowiedni stanik wycięty, do tejże sukni.

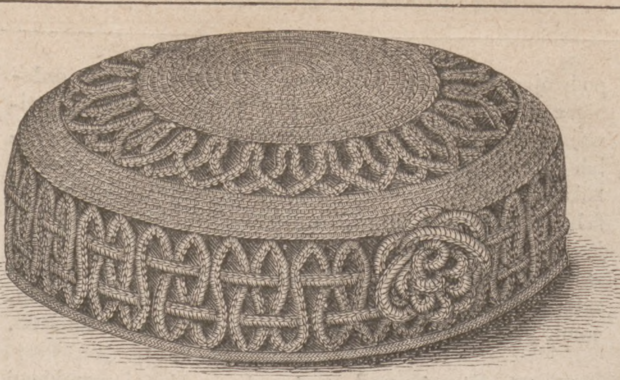
N. 3. Stołeczek pod nogi służący do chowania kamionki z gorącą wodą.

Robota szydełkowa na szpagacie.

Materjał: brązowy atłas, średniéj grubości bawełna szydełkowa popielata; czarne cienkie nici; szpagat dwojakiéj grubości, szare płótno; brązowa plecionka wełniana (1 $^{3}/_{4}$ cent.) gruba tektura, stalka (1 cent: szeroka).

Stołeczek a raczéj przykrycie, puste w środku, składa się z wierzchu 28 cent. liczącego średnicy i z boków 9 i pół cent. wysokich, pokryty jest brązowym atłasem i szydełkową robotą. Służy on do nakrycia kamionki z wodą gorącą do rozgrzewania nóg, a także chroni od zbytniego gorąca kamionki. Najpierw potrzeba przykroić dwa jednakowe, okrągłe denka tekturowe, mające po 28 cent: średnicy i naciąć je w równych odstępach, 12 razy z brzegów na 6 cent głęboko. Potem wyciąć okrągłe denko z grubego płótna, mające 36 cent: średnicy, przykryć niem pojedyncze denko tekturowe i podłożyć 6 stalek 32 cent: długich, układając je w ten sposób ażeby wszystkie krzyżowały się na środku, a końce ich odpowiadały do 12 nacięć w denku. Brzegi nacięć założyć jedne na drugie, o tyle, aby denko miało potrzebną wypukłość, poczem stalki, równo wystające z brzegów, pokryć zbywającem brzegiem płótna i wszędzie dobrze zamocować. Tak dopasowane denko przyszyć do okrągłéj ściany bocznéj pojedynczéj ku czemu wystające stalki w płótnie są pomocne, nakoniec dodać drugie denko i ścianę boczną, pokryte atłasem brązowym z przyozdobieniem z roboty szydełkowéj. Ażeby podwójne ściany, czyli podstawa dolna zachowały potrzebną sztywność i okrągłość, dodaje się

u dołu obrączkę stalową. Robota szydełkowa odrobiona jest na sztywnym sznureczku dwoma nitkami t. j. włóczką popielatą z dołączeniem cienkiéj czarnéj nitki. Zaczyna ją się od środka i robi ciągle wkółko, przybierając tyle ocz. aby okrąg przy 12 c. średnicy liczył 310 oczek Liczba oczek stosuje się do liczby ażurowych ząbków, 4 c. szerokich, ząbki te, idące jedne na drugich podwójnie, mijają się z sobą. Każdy rząd liczy, 15 ząbków z 60-70 o. przyrobionych do okręgu koła, 3 o. śc. w odstępach 11 o: i 10 o. obrobionych o. ść: które łączą się w kółka pod zaczęciem ząbka. Sztywny okrąg robotą szydełkową 4 cent. szeroki zakończa przybranie wierzchu. Na szlak idący wokoło boków stołeczka, robi się, również na sznureczku, szydełkiem podłużne owale. Potrzeba zacząć około 45 o., potem 2 o. śc. w pierwsze i drugie z 45 oczek, z czego powstanie owal 3 1/4 cent. długi daléj * 32 o. na następny w przeciwną stronę idący owal, ktory łączy się za 33 i 34 o. poprzedniego owalu *. Owale te przewleczone są dwoma rzędami roboty na sznureczku. Rozety do podnoszenia ułożone z węzłów szydełkową robotą na mocnym sznureczku; boki u dołu obszyte brązową plecionką.

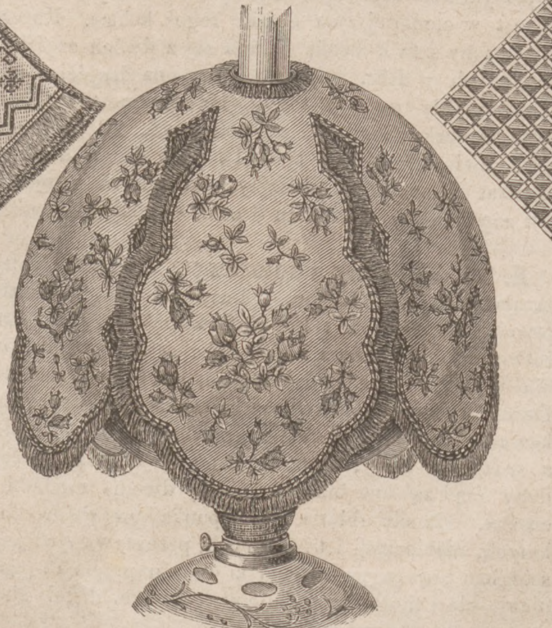


N. 3. Stołeczek pod nogi służący do przykrycia kamionki z gorącą wodą.



N. 4. Serwetka. Haft na materjale waflowym. Patrz N. 5.

N. 4 — 5. Serwetka. Haft na materjale waflowym. Wielkość serwetki zastosowana jest do celu, na jaki ma służyć jak np. na serwetki do kawy, herbaty, jako pokrycie koszyczka, kapa na łóżko lub kolebkę. Deseń może być dany na całem tle ciągniony w miejsce wyszycia szlaków i rzutu. N. 5 przedstawia pojedynczą gwiazdę za pomocą któréj, może być odrobiona serwetka, wskazana na rycinie 4, bez dalszych szczegółów.



N. 6. Ombrelka z krepy i naklejanych kwiatów.



N. 5. Pojedyncza gwiazdka do serwetki N. 4.



N. 7. Cyfra. Haft biały lub kolorowy.



N. 9. Dywanik przed biórko lub łóżko. Haft na pąsowym waflowym materjale. Patrz N. 10.



N. 8. Cyfra. Haft biały lub kolorowy.

N. 6. Ombrelka na lampę. Krepa i kwiaty naklejane. Materjał: 100 cent. krepy zielonéj, perkal meblowy w drobne bukiety; 300 cent: sznureczka złotego, 300 centym. wstążeczki zielonéj 1 cent. szerokiéj, zielona pela, rozpuszczona gumma.

Gustowna i dogodna dla oczu zasłona, jest odrobiona z sześciu oddzielnych części, na które krepa bierze się potrójnie. Brzegi każdéj części wycina się w zęby, i obszywa złotym sznurem przymocowanym łańcuszkowym ściegiem, jedwabiem zielonym, z pod którego idzie zakończenie z frendzelki wysiepanéj wzdłuż ze wstążki. Piękny deseń, wyglądający jakby malowanie ręczne, odrobiony jest oryginalnym, lecz bardzo prostym sposobem, składa się bowiem z gałązek kwiatów i liści, wycinanych z perkalu, jaki służy do obijania mebli. Wzór wskazuje rzut z gałązek, dany brzegiem, a w środku złączony w bukiecik. Kwiaty perkalowe pociąga się przed użyciem z lewéj strony gummą, przy nalepianiu na krepę, potrzeba gummę odwilżyć trochę gąbką.



N. 12. Koszyk w kształcie wazona, ze szlaczkiem haftowanym. Patrz N. 13 i 14.



N. 11. Medaljon haftowany do przyozdobienia koszyków, tek, itp.

N. 7—8. Dwie cyfry do znaczenia. Haft biały lub kolorowy. Nie tylko do znaczenia chustek, serwetek i poszewek, ale zarówno jako monogram, do przyozdobienia rozmaitych małych robótek, służyć mogą podane wzory, odrobione kilkoma odmiennemi rodzajami haftu.

N. 6. Dywanik przed biórko lub łóżko. Haft na pąsowym materjale waflowym. Użyteczność i upodobanie tego wyrobu w kolorze białym spowodowały, iż obecnie wyrabiany jest i z wełny pąsowéj, aby mógł służyć jako materjał na poduszki, dywany i t. p. Haft daje się tak samo jak i na białym materjale, jednym lub różnemi kolorami. Rycina 9 przedstawia bogaty wzór dywanika, który podług dokładniejszego rysunku N. 10 podanego w czwartej części z łatwości może być zrobiony. Główne linje na wzorze są czarne, wyszycie pomiędzy linjami w guście tureckim zielone, niebieskie i żółte. Gwiazdki w szlaku, trochę wypukłe, haftują się długim ściegiem łańcuszkowym, kolorem białym z zieloną obwódką. W miejsce tego pięknego wzoru, możnaby również dać deseń ciągły na tle. Frendzla dowolnéj szerokości zakończająca brzegi, może być wysiepana z tego samego materjału.

N. 11. Medaljon haftowany do tek, koszyków i. t. p. Haft kolorowy na suknie, kaszmirze, materji lub skórze atłaskiem i ściegiem cierniowym. Żyłki na kwiatach powinny być odmiennego koloru.

N. 12 — 14. Koszyk w kształcie wazonu z przyozdobieniem ze sznelki ihaftowanym szlakiem.

Koszyk ten, wielkości dowolnéj, piękną formą wazonu, służyć może do robót, lub papierów. Przystraja się wskazanym sposobem sznelką i szlakiem i haftowanym. W ostatnim numerze przeszłego roku, podaliśmy dużo wzorów szlaczków, które tu można doskonale zastosować, wyszywając je perełkami, lub włóczką na kanwie. Dzisiajsze ryciny N. 13 i 14 podają gustowne wzory do wyszywania na suknie lub skórze, takim samym kolorem lub różnemi, dobranemi harmonijnie.

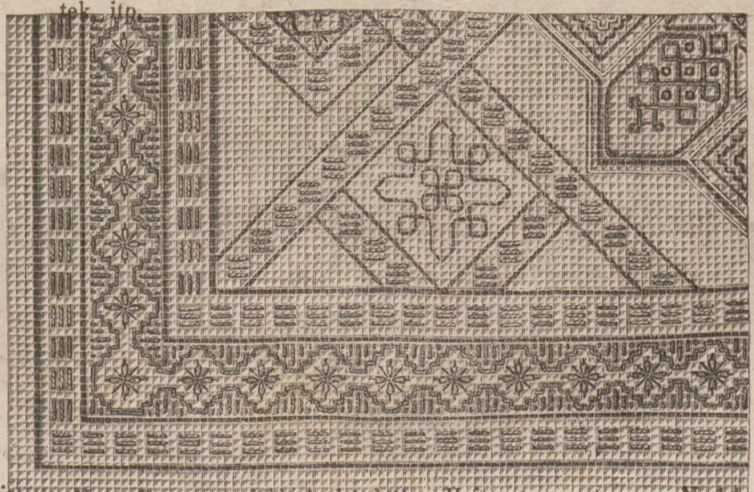


N. 15. Wazon z wypalonéj gliny z malowaniem.

N. 15. Wazon z wypalonéj gliny z malowaniem. Wzór ten przydać się tylko może czytelniczkom, umiejącym malować ręcznie i znającym rysunek i wtenczas stanowi ładną a prędką robotę. Wazonów z wypalonéj gliny dostać można w składach porcelany; malowanie zaś odrobione jest olejnemi farbami, które po przeschnięciu, pociąga się pokostem.



N. 13. Szlaczek. Haft ściegiem luźnym i wyszycie sutaszem do koszyka N. 12 jako też do przyozdobienia różnych robótek.



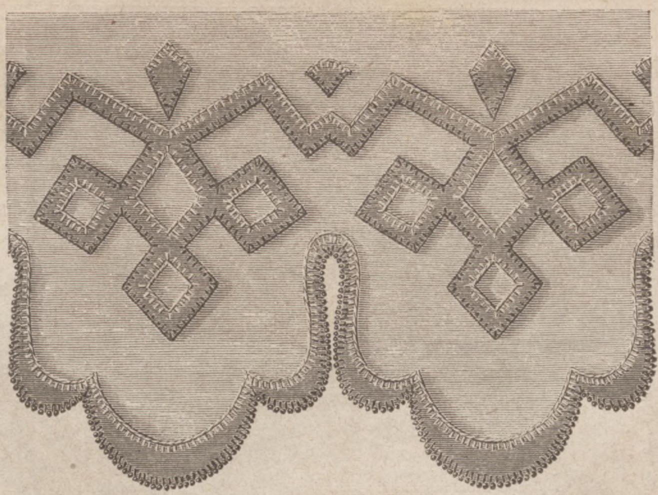
N. 10. Dywan przed biórko lub łóżko. Haft na pąsowym waflowym materjale. Czwarta część wzoru. Patrz N. 9.



N. 14. Szlaczek. Haft płaski, węzełki i sznureczek złoty do N. 12.



N. 17. Lambrekina na suknie do małych koszyczków, etażerek i t. p.



N. 16. Lambrekina na skórze amerykańskiéj. Wyszycie z sukna.



N. 18. Lambrekina na suknie do koszyczków; etażerek i t. p.

N. 16. Lambrekina do ozdoby rozmaitych robót. (Materjał: skóra amerykańska w kamiennym i pąsowym kolorze; czarny i biały jedwab kordonkowy, czarne perełki.) Model przedstawia na tle kamienno-popielatem wyszycie pąsowe; ząbki dolne są po 28 cent. wysokie, 19 cent. szerokie. Aplikacja składająca się z figur o linjach prostych, nader łatwo może być wykonaną przez kazdego, kto umie obchodzić się z cyrklem. Linje które wycina się z materjału ciemno pąsowego, podgumowane i naklejone na tle lub przytwierdzone dzierganiem cienką nitką, sprawiają efekt ładnie naszytéj wstążki szerok. 1 centymetra. Z jednéj strony dane rzadkie ściegi białym, z drugiéj czarnym jedwabiem. Ząbki brzeżne tegoż koloru co śródkowa aplikacja, od dołu mają naszycie z perełek czarnych, które nawleka się na nitkę od wyszyc i a dziergania.

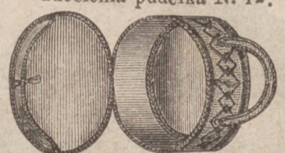
Taka robota, bardzo ładnie wygląda, wykonana z perkalu na muślinie, lub na tiulu firankowym, z podłożeniem batystu stanowić może gustowne zakończenie do bielizny.



N. 21. Gałązka żołędzi do przyozdobienia pudełka N. 19.



N. 19. Pudełko na czepek zamknięte. Patrz części pojedyncze N. 20 — 22.



N. 20. Pudełko na czepek otwarte.



N. 23. Skórzany worek na nogi.

N. 17 i 18. Dwie lambrekiny. Haft na suknie. Oba te wzory mogą być wykonane na suknie, rypsie lub skórze, każdym ulubionym kolorem, w tym cieniu co tło lub zupełnie odmiennie. Deseń może być dany jednakowy na wszyszkich ząbkach, lub zmieniający się co drugi ząbek.

N. 19 — 22. Pudełko na czepek. Robota fantazyjna na kanwie skórzanéj.

Materjał: żółta kanwa skórzana, ciemno brązowa sznelka do haftu, takież resztki sukna, jasno i ciemno zielonawy jedwab kordonkowy, brązowy do cieniu, nie zbyt ciemno brązowa plecionka jedwabna (1 cent. szeroka) podszewka, brązowy jedwab, guziczek, 5 cent. długi kawałek czarnéj jedwabnéj elastyki.

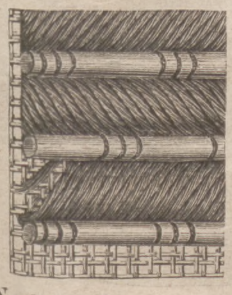
Okrągłe to pudełko ma 24 cent. średnicy i boki 8 cent. szerokie. Forma pudełka odrobiona jest z tektury, pokryta kanwą skórzaną i ozdobiona podług wzoru brązową sznelką i aplikowaną gałązką dębową z żołędziami. Rycina 21 wskazuje gałązkę do naszycia na obu połowach pudełka, która podług tego wzoru haftuje się jedwabiem do cienin na brązowym suknie lub aksamicie. Podług niéj nie trudno będzie odrobić pojedyncze liście naszyte na bokach okrągłych pudełka. Pojedyncze części kanwy podłożone cienką tekturą, łączą się za obszycie z brązowéj wełnianéj plecionki, która służy także do przymocowania podłożonéj tektury. N. 20 podaje mały, otwarty model pudełka, ułatwiający połączenie obu części. Pozostaje tylko do przykrycia dodać okrągłe boki z tektury, dlo lepszego zamykania, ucho czyli pałączek 2 cent. szeroki, 24 centy. długi, do trzymania i guziczek z pentelką ozdobioną kwastem, do zamykania pndełka, w którem bezpiecznie da się przenosić strojny czepeczek. N. 22 podaje wzór przytwierdzenia sznelki do kanwy skórzanéj.

N. 23. Skórzany worek na nogi przyozdobiony haftem.

Robota i forma prosta worka do chowania nóg, nie potrzebuje przy dodanym wzorze żadnego opisu. Me-



N. 24. Futerał do nut. Patrz N. 25—27.



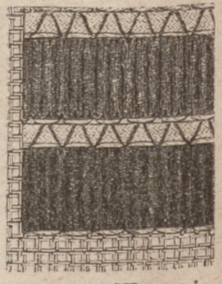
N. 25. Wyszycie na kanwie włóczką angielską i pręcikami z trzciny.



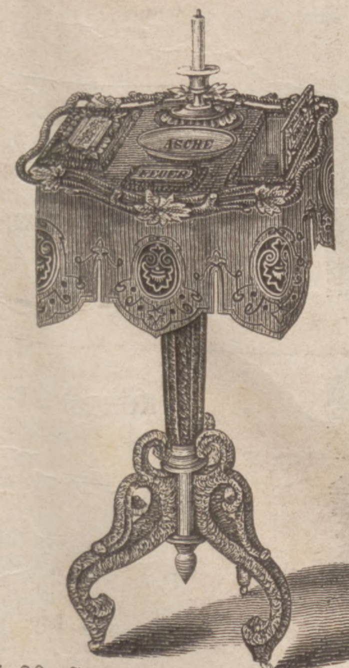
N. 22. Kanwa skórzana przyozdobiona sznelką do N. 19.



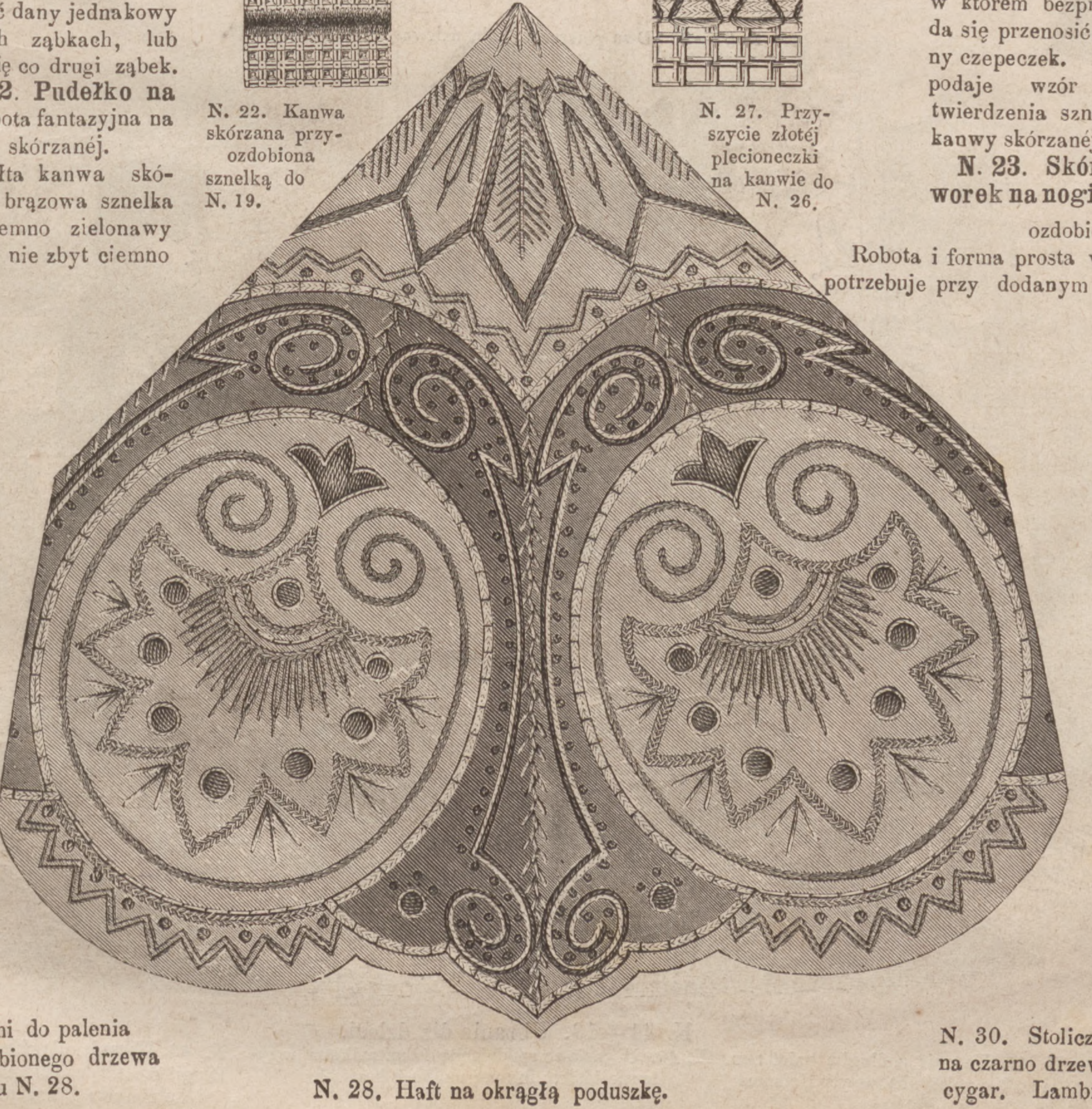
N. 27. Przyszycie złotéj plecioneczki na kanwie do N. 26.



N. 26. Wyszycie na kanwie sznelą i plecionką złotą.



N. 29. Stoliczek kwadratowy z przyborami do palenia cygar. Lambrekina wisząca z pod rzeźbionego drzewa może być odrobiona podług wzoru N. 28.



N. 28. Haft na okrągłą poduszkę.



N. 30. Stoliczek okrągły z polit[u]rowanego na czarno drzewa, z przyborami do palenia cygar. Lambrekina podług wzoru N. 20. w przyszłym Nrze Tyg. Mód.

daljon z haftem, stanowiący przyozdobienie, odrobiony być może na kanwie, kolorowemi włóczkami, lub też jedwabiami na suknie; wzory wyszycia na kanwie podają N. 27 i 26.



N. 32. Gwiazdka z kolorowego papieru do drzewka. Zobacz ryc 33.

N. 24 — 27. Futerał na nuty. Materjał: niezbyt ciemna wstążka brązowa 3 i 2 cen. szeroka; jasno brązowa włóczka angielska i czarna berlińska; cienka trzcina; kanwa średniej grubości; brązowa jedwabna plecionka takiż jedwab; tektura, elastyka.

Futerał ten s k ł a d a s i ę z dwóch osobnych części okrągłych, połączonych, z sobą elastyką, z których każda liczy 9 cent. długości i 22 szerokości. Podstawę do nich stanowią okręgi tekturowe, pokryte wyszyciem na kanwie jakie podajemy w naturalnéj wielkości na wzorze. N. 25. Wyszycie to odrobione włóczką angielską składają paski skośnie wyszywane i pręciki trzcinowe, przytwierdzane w odległości 1 cent. trzema ściegami czarnéj włóczki; sciegi czarne. W każdym rzędzie powinny mijać się ze ściegami rzędu poprzedniego.

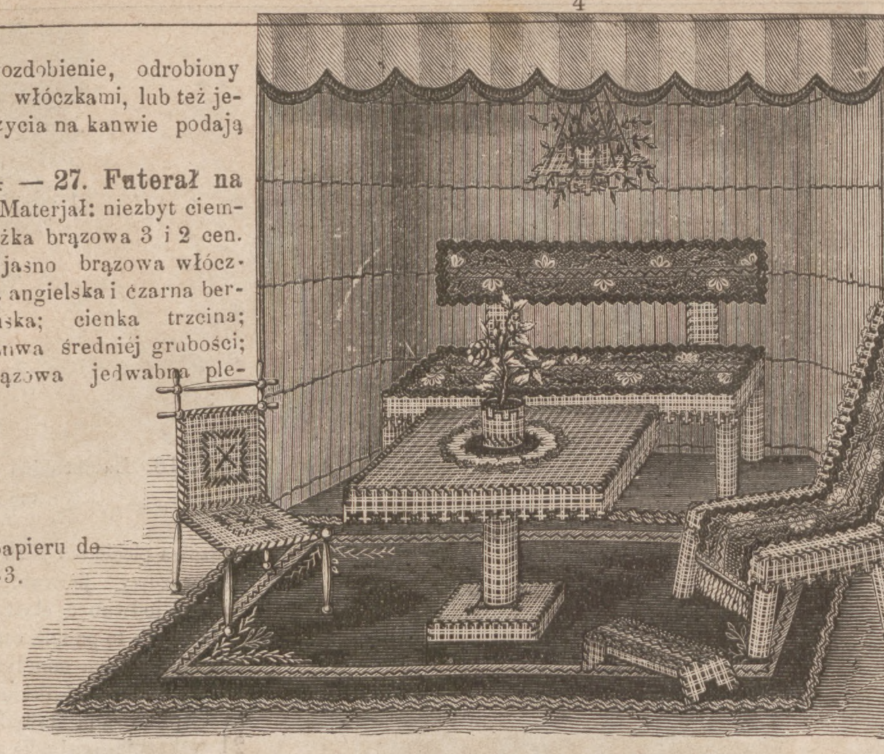
Miejsce przytwierdzenia pręcika oznaczają dwie nitki kanwy, zostawiane m i ę d zy skośnemi paskami wyszycia włóczką.

Skośne wyszycie łatwo bardzo odrobić patrząc na wzór N. 25. Denka w obu częściach futerału, powleczone są wstążką 3 cent. brązową, zmarszczoną od góry; na zmarszczeniu przyszyta rozeta okrągła ze wstążki i dwa kwasty z brązowéj włóczki angielskiéj.

Podszewka brązowa, łączy w okrągłych bokach t e k t u r ę z wierzchem z kanwy. Riusza brązowa ze wstążki przyszyta jedwabną plecionką, stanowi zakończenie w górze i u dołu.

Ucho do trzymania futerału z nutami odszyte jest ze wstążki zmarszczonéj w bufę.

N. 26 i 27. podają wzór inngo wyszycia na kanwie, składającego się z plecionki złotéj, przymocowanéj czarnemi ściegami i wyszycia ze sznelki w dwóch kolorach. Na N. 27. wskazane jest przymocowanie plecionki.



N. 31. Um[illegible] pokój dla lalki.

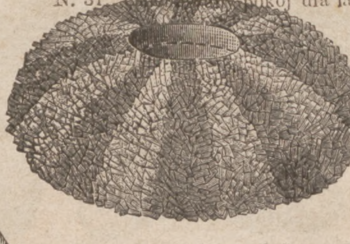
N. 28. Deseń na okrągłą poduszkę z naszyciem sukiennym. Na tle piaskowo-brązowem w miejsce haftu dane n a s z y c i e z s u k n a w dwóch zielonych kolorach, przyozdobione ściegiem luźnym w dwóch cieniach piaskowo brązowym i cienkim sznureczkiem złotym, co razem sprawia piękny efekt. Haft przeznaczony na okrągłą poduszkę, zakończony jest w koło podłożoną riuszą atłasową lub jedwabną; przy poduszce pod nogi riusza może być z aksamltu, w odpowiednim do haftu kolorze.



N. 34. Koszyczek papierowy do drzewka.



N. 33. Forma na gwiazdkę N. 32.



N. 35. Profitka z bibułki. Patrz N. 36.



N. 36. Forma do profitki N. 35.

N. 29 i 30. Dwa stoliki z przyborami do palenia cygar. Podane przez nas modele posłużą czytelniczkom zręcznym i wprawnym w robotach, jako wzory w przybraniu stolików i urządzeniu wszelkich przyborów do palenia cygar. Stanowić one mogą piękny i użyteczny podarunek, przy którym można dodać własnoręczną p r a c ę wiele ozdób gustownych.



N: 37—38. Dwa płaszczyki dla dziewczynki od lat 7—12.



N. 39. Płaszczyk z peleryną dla małéj dziewczynki.



N. 40. Płaszczyk ze szkockiego materjału dla małéj dziewczynki.



N. 41—43. Ubrania dla dzieci.

N. 41. Ubranie z długim paletotem i krótką peleryną, oszyty ciemnem futrem.

N. 42. Ubranie ze spódniczką i kaftanikiem, przybrane białem futrem; mufka i krawatka.

N. 43. Ubranie dla chłopca. Długi paletot z obłożeniem i kołnierzem futrzanem.

Dalszy ciąg opisu N. 2, nastąpi w dodatku N. 3. Tygodnika Mód.

KORESPONDENCJA.

Panu G. Mi. Pud p ł y n n e g o szkła kosztuje rubli srebrem 6. kop. 50.